

ŚWIĄTYNIA DORIANNA

Archipelag Wschodni, port Ista.

Fala przyboju przeskoczyła rząd raf wprowadzając zamęt wśród rozgwiazd, krabów i innych wodnych stworzeń, potargała łodygi wodorostów, wzniosła piasek z mielizny, aż wreszcie roztrzaskała się o jeden z nadbrzeżnych głazów, ochlapując przy okazji siedzącego na nim człowieka. Mężczyzna popatrzył na kropelki pokrywające rękaw, po czym strzepnął je dłonią. Na szarym aksamicie pozostał ciemny ślad.

Rozdział I

Był to osobnik średniego wzrostu i przeciętnej budowy ciała. Smagłą twarz okalały krótkie, czarne, starannie przycięte włosy równie zadbane co krótka broda. Oczy o granatowych tęczówkach, głęboko osadzone, bystro spoglądały na świat. Czaiła się w nich nieprzeciętna inteligencja, upór i zdecydowanie.

Przypadkowy i ciekawy obserwator zadałby sobie pytanie o cel tego bezproduktywnego na pozór siedzenia. Wszak gapienie się w pusty ocean nie miało sensu. Może nieznajomy wyglądał, aż na horyzoncie pojawi się biel żagla i nie zwlekając pobiegnie do portu, by powitać ukochaną dziewczynę? Lub oczekiwał zachodu słońca, aby doznania wywołane widowiskiem, grą światła i chmur przenieść na papier? Jego wypiełgnowane dłonie bez wątpienia znały sztukę pisania, a lotny umysł potrafiłby złożyć strofy. A jeśli nie bard to kupiec, zmęczony interesami, użeraniem się z klientami i poborcami podatków. Ale jaki handlarz, któremu jako tako się wiodło, nie dorobiłby się brzucha i bogatych szat, by swoim wyglądem wzbudzać szacunek i zaufanie? Tunika mężczyzny była z pierwszorzędного materiału, zdobiona na brzegach srebrną nicią, a sandały z dobrej, mocnej skóry, ale tak prosto nie ubrałby się żaden człowiek interesu. Co najmniej miałyby jeszcze tołub lisi, kilka pierścieni, łańcuch, jeśli nie złoty to przynajmniej pozłacany, wreszcie płaszcz szkarłatny, a nie bury, zwykły, na którym siedział.

Broń, wskazująca na rzemiosło wojenne? Nie miał broni. U pasa nie wisiał mu nawet najpodlejszy nóż. Nie wyglądał też na samobójcę, chcącego zakończyć życie skokiem do morza. Zresztą nawet w trakcie przyływu miałby tu wodę co najwyżej do ramion.

Uparty i nieusatysfakcjonowany podglądacz zacząłby w tej chwili zastanawiać się o celowości wizyty w tym cichym zakątku wszystkich znajomych magów, czarodziei i iluzjonistów. I by jej nie znalazł.

Siedzący nad urwiskiem pojawił się tu bez sprecyzowanego celu, wiedziony impulsem, potrzebą chwili, a nie wydumany celem, czy chęcią medytacji. Było to z pewnością lepsze miejsce, niż któraś z zatęchłych, portowych tawern, gdzie mógł spędzić ostatnie godziny przed czekającą go podróżą. Nieomal go zemdlilo, gdy wyobraził sobie ciasne i cuchnące zaułki Isty, ochryple ryki pijanych żeglarzy wybijające się nad bezosobowy tłumem myślącym tylko dniem dzisiejszym. Zawsze gardził motłochem. Uważał, że jest ponad słabostkami szarych zjadaczy agawy. Widział i przeżył dość, by nie targały nim namiętności czy tragedie. Poznał swój umysł i ciało, trzymał na wodzy odruchy i emocje.

I teraz zaskoczył go fakt, że odczuwa podniecenie jak nieopierzone pacholę. Nie niepokoiły go plany wybiegające w przyszłość o lata, wszelkie trudności, na jakie mógł się natknąć przy ich realizowaniu, lecz czekająca go wojaz. Cóż jednak mogło mu się przytrafić? Według Landarna, z którym widział się przed kilkoma dniami, najbliższe miesiące miały być spokojne. Żadnych cyklonów, sztormów ani burz. Poczciwy mag – za pan brat z żywiołami, przewidział trafnie tyle katastrof i kataklizmów (parę okazało się efektem jego talentu), że wątpić jego słowom mógł tylko niedowiarek, głupiec, czy przesadny asekurant.

Piraci – wilki mórz? Owszem, mogli się chępić, że są faktycznymi panami oceanów, nie licząc kilku wysp. Ale odkąd admirał Ilte zniósł jedną z ich flot pod Ankaraa, a następnie złożył wizytę na

jednym z ich rodzinnych archipelagów, gdzie najpierw przemówił mieczem, a później piórem pod wyżebranym traktatem, morsecy rabusie unikali wszelkich statków płynących pod banderą Kiszmetu. Z tym większą zaciekłością atakowali jednostki Katana. Yryn Yrgan i jego 4 flota stacjonująca na Orkusie Wschodnim, byli bezradni. Czarny rycerz okazał się lepszym rajcą miejskim, niż wodzem.

Kto nie bał się piratów i gwizdał na tajfuny, mógł przynajmniej poczuć dreszcz na dźwięk pewnej skromnej, geograficznej krainy: Archipelagu Pajęczego. Gdyby jednak zwierzyły się ze swoich obaw przed kapitanem Callisonem, właścicielem *Tęczy*, najpierw usłyszałyby drwiący śmiech, potem przysłowie o prawdziwości plotek, wreszcie stary żeglarz dałby siebie za przykład, że choć od lat żegluguje na trasie Ista – Olgrion, to jednak żyje i żadnemu pasażerowi, który zdał się na jego opiekę, nie stała się krzywda.

Taaak, nie sposób odczuwać niepokój z powodu perspektywy paru tygodni na pokładzie *Tęczy*. Uczucie, które go zaniepokoiło było nie strachem, ale gorączką podróży. Kiedyż ostatni raz poddał się temu impulsowi?

Sięgnął pamięcią wstecz o dobre kilkadziesiąt lat.

Droga z Furud do Ratamanu, święto Passa. Niekończący się korowód dwukołowych arb, bryk, furmanek, lektyk, rydwanów, ciężko objuczonych mułów, osłów, opasów i wielbłądów. Jadący wierzchem i piesi pielgrzymi. Co pewien czas powietrze przeszywał pegaz lub gryf, unoszący na swoim grzbiecie kogoś bardzo możnego lub wpływowego. Patroli wojskowych, jakże licznych na każdym trakcie w Glean Ann – sąsiednim królestwie, tu, w sercu Kiszmetu nie było widać w ogóle. Potwory można było oglądać w miejskich menażeriach lub u komedianów, a nieliczni rabusie nie odważyliby się próbować napadu w tak wielkiej masie. Tylko złodzieje, mistrzowie o delikatnych i czułych dłoniach mieli obfite plony.

Ludzie i zwierzęta. Wolni i niewolnicy. Najróżniejsze stany, eksplozja strojów i barw – wszystko to stanowiło prawdziwy raj dla spragnionego wrażeń dziesięciolatka. Pierwszy raz brał udział w podobnej wyprawie, oczywiście pod opieką rodziców. Chłopca podniecała dodatkowo tajemnica, która wyszła na jaw tuż przed podróżą.

Jego matka nie była Selvitką. Pochodziła z Glean Ann – kraju, którym rządziły kreatury zwane Orkami. Najwyższy, jak mawiał jego ojciec, musiał być w fatalnym humorze, gdy tworzył tę pożałowania godną parodię człowieka. Oczywiście piękna Laona nie miała z nimi nic wspólnego. Prawdę mówiąc żyło tam kilkakrotnie więcej ludzi niż Orków. Niemniej prawo Kiszmetu zabraniało mieszanych małżeństw i w razie wydania sekretu na całą rodzinę spadała hańba wraz ze wszystkimi konsekwencjami, począwszy na konkwiskacie majątku, a zaprzecaniu w niewolę kończąc.

Kołująca mewa rzuciła się w wodę, ale ryba w ostatniej chwili wymknęła jej się z pod dzioba. Ptak zaskrzeczał zawiedziony i wzbijając się postradał piórko.

Siedzący na skale człowiek otworzył oczy i odruchowo chwycił mewią zgubę, po czym obejrzał białobrzewy puch.

To były dobre, szczęśliwe czasy. Z perspektywy lat tajemnica jego pochodzenia mogła wydać się przynajmniej śmieszna. Ale wtedy...

Wyobraźnia kazała mu widzieć szpiega w każdym cieniu. Każdy sąsiad mógł być donosicielem, a obdarty nosiwoda przebrany oficerem tajnej policji. Wreszcie przyzwyczał się żyć z brzemieniem niepewności.

Matka nauczyła go wykorzystywać każdą chwilę życia i czerpania satysfakcji i zadowolenia nawet z błahostek. Dzięki temu ze śmiechem przyjmował kłopoty szczenięcych lat i gładko brał życiowe przeszkody.

Po latach lubił wrócić myślami w tamte czasy. Nie żył bynajmniej przeszłością. Całkowicie podzielał opinię matki, że każdy wiek ma plusy i minusy. Wspomnienia traktował jako coś miłego i relaksującego. Wszak było to jego życie. Nie chciał, ani nie miał powodu go odrzucać, jak choćby ojciec, który tak naprawdę rozwinął skrzydła dobrze po trzydziestce i nawet nie chciał napomknąć, co robił w młodości.

Oczywiście nie mógł pozwolić, by wizja minionych lat przysłoniła teraźniejszość i uniemożliwiła twórcze działanie. Bierna egzystencja, nawet gdy opływało się w bogactwo, napawała go wstrętem. Z biegiem czasu zaczął traktować życie jak wielkie wyzwanie. Każda przeszkoda stawała się bodźcem do działania. Jeśli droga stawała się usłana różami, tym gorliwiej szukał kolców. I nie przejmował się, gdy musiał za to płacić.

O, jeśli prawdą jest, co mówią kapłani o wiecznej szczęśliwości po tamtej stronie życia, to zaiste, nie warto tam się spieszyć. Ale gdy nadejdzie chwila poznania największej z tajemnic świata, potraktuje ją jako godne zakończenie wędrówki.

Jeszcze raz popatrzył na miejsce, gdzie słońce stoczyło się do wody. Tam, na zachodzie czekało **nieznane** i prawie nieosiągalne. Jego życiowa filozofia kazała wyciągnąć po to rękę.

Rozdział II

Archipelag Centralny, 5 lat później

Trzydziestego dnia miesiąca dagin–rana stanęli pod murami Gasty.

Mury! Gdyby nie wyjaśnienia Rotta – dowódcy koczowniczego oddziału orków, pomyśleliby, że szeroką dolinę przecięło dziwacznie regularne, nowe pasmo gór. Wysokie na 300 metrów, potężne i monumentalne. Wyrastały na nim niby turnie strażnicze wieże. Ale nie pasowały do ogólnego obrazu. Obce narośla na zdrowym organizmie. Niezgrabne i nie wiadomo, czy wykorzystywane.

– Nie chciałbym służyć w armii, której przypadł zaszczyt wzięcia tego miasta – powiedział Alendil, młody, wysoki elf o czarnych, spadających na kark włosach. Jego skromne, szarozielone ubranie doskonale leżało na sprężystej sylwetce i tylko duży łuk przewieszony przez plecy, minimalnie utrudniał konną jazdę. A wierzchowiec elfa nie należał do posłusznych. Mimo szarpania wodzami nie chciał stanąć, choć cała karawana zatrzymała się samorzutnie przed majestatyczną budowlą. Nawet orki z eskorty, zawsze hałaśliwe i będące tu nie pierwszy raz, przycichły i zachowały jako taki szyk, miast rozleść się na wszystkie strony jak przy każdym popasie.

– Gasta nigdy nie została zbrojnie zajęta – odparł rosły człowiek o szlachetnych rysach, siedzący na bojowym rumaku. Prowadzony luzak był zaś objuczony pakunkami, których kształt tudzież błysk polerowanej stali, wystającej z rozerwanego płótna, mógł sugerować, iż ich właściciel trudni się rycerskim rzemiosłem.

– To największe miasto reptillionów na Orkusie, a jej mieszkańcy uważają gród za jedynie prawdziwie niepodległy, pomimo stacjonującego w nim garnizonu orków. Mówią, że mury zbudowano z prawdziwego...

– A kogóż to wszystko obchodzić może? – sarknął Chivas, jedyny krasnolud w całym towarzystwie. Złośliwi mówili, że jego wzrost jest odwrotnie proporcjonalny do tuszy, a jeśli w

dalszym ciągu będzie tak rósł, czy też tył, to szybko dochrapie się stanowiska Wielkiego Mistrza Gildii Kupieckiej po Got-garcharze. Chivas, gdy zabrakło mu odpowiednio ciętej riposty, zwykł mawiać, że nigdy nie zapomina dobrych słów od szczerych przyjaciół. I tym bardziej nie zapomni, gdy sięgnie szczytów swoich możliwości. To znaczy wierzchołka rusztowania szafotu dla spekulantów, odpowiadali rozmówcy i na tym dialog zazwyczaj się kończył. Krasnolud nie przepadał za wytykaniem jego postępowych posunięć handlowych. Jednak teraz przebywał w otoczeniu podróżnych nie znających jego kupieckich wyczynów jak koledzy po fachu lub, co gorsza – klienci.

– Dla mnie ta hałda może być nawet z łajna trolli. Jeśli istnieje gdzieś możliwość zrobienia dobrego interesu, to wleżę nawet w ...

– Mości krasnoludzie – przerwał mu człowiek wyglądający na rycerza – pohamuj swój niewyparzony język. Wszak towarzyszy nam dama. I to właśnie jej przodkowie wzniesli te mury.

– Dama? – Chivas uczynił ruch jakby chciał splunąć, ale zreflektował się i tylko zerknął prowokująco na jadącą z tyłu reptillionkę. Ale ta albo nie dosłyszała, albo nie zrozumiała rozmowy prowadzonej we wspólnym.

Jechała jak zwykle bez słowa. Mizerny koń nie bez znacznego wysiłku dźwigał 90 kilo żywej wagi, nie licząc broni i ekwipunku.

Zjawa z sennego koszmaru, bardzo nieudana parodia człowieka. Pokryte łuskami ciało, szczątkowy ogon, palce zakończone pazurami i wreszcie łysa głowa. Typowo gadzie oczy trwały w bezruchu, zapatrzone w nieokreślony punkt w przestrzeni.

Towarzystwa w milczeniu dotrzymywał jej drugi elf, tam razem jasnowłosey. Z zasady nie uczestniczył w rozmowach. Pytany, odpowiadał monosylabami, czasem ledwie dostrzegalnym ruchem ręki czy głowy. Odstawał od grupy. Ale trudno było wymagać, aby druid czuł się swojsko w gromadzie, z dala od nieskalanej ludzką stopą głuszy, dzikiej i pierwotnej przyrody. Za to Ingram Olhey, którego wylupiaсте oczy i gruby, zadarty nos dobitnie wskazywał na domieszkę krwi orków, wśród stosunkowo niedawno poznanych kompanów czuł się jak ryba w wodzie. Zresztą błyskawicznie adoptował się w każdym środowisku. I wcale nie pomagał sobie czarami, choć magii się poświęcił. Jego bronią było poczucie humoru, chwilami nie do zniesienia. Beztraska i łamanie wszelkich zasad stanowiło regułę i codzienność. Brał życie na wesoło, cokolwiek przynosiło. A w tym momencie łaskawy los podsunął mu naburmuszonego krasnoluda, zachichotał więc na samą myśl o paru najbliższych chwilach podczas których dostarczy sobie i kolegom uczciwego ubawu. Zresztą Ingram nie żałował zgryźliwych uwag nikomu, a często sam stawał się obiektem żartów. Niejednokrotnie wystarczało jego kpiące spojrzenie, czy mina parodiująca zachowanie któregoś z kolegów bądź postaci ogólnie znanej, by zaistniał pretekst do śmiechu bądź opowiedzenia zabawnej historii.

Oczywiście Chivas nie miał wątpliwości, że zaraz jego godność kupiecka zostanie narażona na szwank. I był gotów odgryzać się równie zaciekle.

Można było wyczuć, że obaj przygotowują się do słownego pojedynku. Tak przynajmniej odebrał to rycerz, a bynajmniej nie chciał by przerwano mu wywód, który podjął poprzednio. Był wielkim znawcą historii Archipelagu Centralnego, zwyczajów jego mieszkańców i nie zaniedbywał okazji w okazywaniu tego. Teraz, jakby niezauważając nietaktu kupca, kontynuował temat zaczęty przez Alendila.

– Faktycznie, atak frontalny na mury tej wysokości byłby samobójstwem. Nad ich wznoszeniem czuwali półbogowie reptillionów, a podejrzewam, że wciągnęli również do budowy istoty z innych sfer egzystencji. Popełniono jednak błąd w arcydziele. Konkretnie mówiąc twórcy nie przewidzieli nowoczesnych metod walk. Gasta, choć stoi twardo na ziemi, jest szeroko otwarta na atak z powietrza. W czasach, gdy miasto powstawało, nie istniały jeszcze kohorty wyposażone w gryfy czy

pegazy, względnie używano tych zwierząt tak sporadycznie, że groźba ataku od góry praktycznie nie istniała. Nawiasem mówiąc – Katan w chwili, gdy przyszła mu ochota na Gastę, nie użył pegazów, ani smoków, choć posiada obie formacje. Posłużył się Archonami.

– Maszkary! – nie omieszkał wtrącić Chivas.

– Dlaczego od razu maszkary? Po prostu ludzie ze skrzydłami.

– Właśnie.

– Czy mam rozumieć, że uskrzydłone krasnoludy były by do zaakceptowania?

– Ależ nie, w żadnym razie – oskarżony o nieprzychylność dla ludzkiej rasy, zamachał rękoma w geście sprzeciwu, że o mało nie spadł z kuca, na którym jechał. Co prawda nie wierzył, że dumny szlachcic wyzwie go w obronie godności ludzkiego rodu na udeptaną ziemię, ale nie widział sensu w robieniu sobie jeszcze jednego wroga.

– Jego obawy okazały się płonne, bowiem człowiek zapomniał już o incydencie i wrócił do opowieści.

Do walki jako takiej nie doszło. Archoni zadowolili się demonstracją siły, a obrońcy widząc bezsporną przewagę, zrezygnowali z oporu.

– I co było dalej? – zapytał Chivas, jakby zainteresowaniem chciał zatrzeć niekorzystne wrażenie z przed paru minut.

– Nic. Era świetności reptillionów minęła i wybiła godzina orków z rodem Katanów na czele.

– Chciałbym doczekać chwili, w której ich epoka odejdzie do historii – dodał Alendil.

– Masz przed sobą dobrze ponad pół tysiąca lat życia. Kto wie, co się wydarzy za parę wieków. Chociaż moim zdaniem zmierzch orków nie nastąpi prędko.

Na tym skończyła się rozmowa. Teraz mogli podziwiać jeszcze jeden cud architektoniczny. Brama wiodąca do miasta znajdowała się nie u podnóża muru lecz niemal na jego szczycie. Prowadziła doń skalna grań o szerokości wystarczającej, by swobodnie minęły się dwa wozy. Ów podniebny szlak nie biegł w linii prostej, lecz wił się serpentyną coraz wyżej i wyżej. Figurki podróżników i zwierząt mozolnie pnące się w górę, na tle majestatycznej budowli kojarzyły się z nic nie znaczącym robactwem.

Dowódca oddziału koczowniczego polecił im, aby z siedli z koni i prowadzili je za uzdy. Również jadący na wozach, z wyjątkiem powożących, postąpili tak samo. W razie paniki wśród zwierząt w najgorszym razie przepadnie tylko ładunek.

Spізowe wrota z olbrzymim, kryształowym kłem – symbolem bóstwa reptillionów, nie były pilnowane. Jakby władców miasta nie obchodziło bezpieczeństwo ani zyski z myta. Ingram napomknął o tym na głos i tym razem jasnowłosy rycerz udzielił odpowiedzi.

– Ochrona miasta przed bandami, większymi potworami czy ewentualnym nieprzyjacielem jest skuteczniejsza, niż wskazują na to pozory – jechali teraz przez dzielnicę bezpośrednio przylegającą do murów. Wyglądała raczej na fort, a nie mieszkaniową kolonię. Budynek robiły wrażenie cekauzów i koszar, od stajni dochodziły porykiwania skalnych jaszczurów – bojowych rumaków tutejszej kawalerii. Gdzieś tam kręcili się uzbrojeni reptillioni, całkowicie ignorujący karawanę.

– Każdy co znaczniejszy oddział jest dyskretnie obserwowany, jeszcze podczas wędrówki po grani. Mogli nas wtedy zasypać pociskami. Gdyby wróg ujawnił swe zamiary już za bramami, to również niewiele pomoże. Zwróćcie uwagę na ulicę, którą jedziemy. Szeroka, bez zakrętów. Jesteśmy doskonale widoczni, bez szans ukrycia. Nie wiem, czy widzieliście w życiu szarżę reptillionńskiej konnicy. Obyśmy nigdy nie musieli stawić jej czoła. Później zauważycie, że na ulicach jest zadziwiająco mało patroli. To taka przekorna postawa wobec Katana, na zasadzie:

patrzcie, ile oddziałów pałęta się dniem i nocą po Ostrogarze; u nas ich prawie nie widać, a porządek potrafimy utrzymać bez zarzutu. A opłaty za wjazd do miasta nie przepadają. W każdym zajeździe ceny są niebotycznie wysokie, bowiem karczmarze płacą odpowiednie podatki.

– Więc mamy nocować na ulicy? – w głosie Ingrama zabrzmiała nuta żalu, za tymi wszystkimi stągwiami piwa, którego nie będzie mu dane wypić.

– A chcesz zostać sprzedany w niewolę za długi? Zresztą nie mamy takiej potrzeby. Wszak zgodnie z umową mamy stawić się w porcie. W południe.

– Ja muszę! – powiedział nagle Chivas.

– W krzaki ? – wypalił natychmiast Ingram.

Krasnolud spiorunował go wzrokiem – Zatrzymać się u tych zdzierców – machnął ręką w kierunku bliżej nieokreślonej obozowiny, na której cennik był skazany. – Nasza wspólna podróż kończy się tutaj.

– Wielceśmy zaszczytzeni waszym towarzystwem, mości krasnoludzie – odparł natychmiast czarodziej widząc, że rycerz już otwiera usta, by pozdrowić kompana podróży. – I aby komes nie interesował się twą działalnością.

Pożegnalne przekleństwo Chivasa zlało się z hurkotem wozu, ostro skręcającego w boczną ulicę.

Jadąc przez śródmiejskie dzielnice mogli zauważyć, jak bardzo Gasta różni się od Ostrogaru. Tylko niektóre ulice wybrukowano w klasyczny sposób. Nawierzchnię na ogół stanowiła lita skała. O ile to była prawdziwa skała... Kopyta wydobywały z niej głuchy stukot. Domy przy głównych traktach – najczęściej piętrowe kamienice, nie pasowały do szarych, kamiennych tworów o owalnych oknach i drzwiach. Wiele domostw, zwłaszcza starego budownictwa, świeciło pustkami. Nie były to ruiny, ale patyna czasu, brak gospodarskiej ręki i żywych lokatorów nadawał im ponury wygląd. Spotykane grupki mieszczuchów nie można było nazwać wielkomiejskim tłumem. A przecież Chivas wspominał o wielkim jarmarku, który miał się odbyć za dwa dni. Chyba doświadczony kupiec wiedział co robi, zużywając miesiąc cennego czasu na podróż. Jeszcze dziwniejszy wydawał się na tle barwnej mieszanki ras Orchii stosunkowo niewielki procent reptillionów. Na ogół sprawiali wrażenie wojskowej załogi miasta. Z reguły tak samo ubrani i uzbrojeni.

– Obcy u siebie – skwitował druid. Odezwanie się elfa było niecodziennością, a odezwanie się jako pierwszy – wydarzeniem. Ale nikomu nie chciało się jakoś podtrzymać rozmowy. Nie byli zaangażowani emocjonalnie w sprawy miasta. Owszem, rozglądali się uważnie dookoła, ale oczami przybysza – obojętnego widza na wszelkie tragedie. Nawet Aisha nie wykazywała większego zainteresowania spadkobiercami rasy, z której pochodziła. Jedynie czasami z jej gardła wydobywało się jakby posykiwanie, ale nikt nie wiedział, czy były to oznaki niezadowolenia, czy może wprost przeciwnie.

Mijane dzielnice niewiele się różniły. Praktycznie trudno było czasami powiedzieć, gdzie kończyła się jedna, a zaczynała druga. Co by nie mówić złego o Ostrogarze, Gasta okazała się bez porównania smutniejsza, bardziej szara i monotonna. Toteż wszyscy odetchnęli, znalazłszy się w porcie, choć zapewne wonie płynące z rybackich statków nie zachęcały do tego. Za to nadbrzeże tętniło życiem. Przy kei kłębiły się różne urządzenia do pływania.

Rzędem, niczym wyćwiczone wojsko, stały obok siebie kupieckie kogi z Gutum Guru. Od nich, aż do magazynów portowych bądź czekających wozów, ciągnął się łańcuch niewolników, tragarzy, sług i parobków. Każdy objuczony mniejszym lub większym pakunkiem, pracowicie wydeptywał szlak w kamiennym bruku. Właściciele i pośrednicy okrzykami i wymachiwaniem batów, lasek czy kijów, kierowali tym ludzkim potokiem.

Nad całą mozaiką galer unosiły się zapachy skutecznie konkurujące ze zgniłymi rybami i

zawartością rynsztoków i gnojówek razem wziętych. O dwóch liburnach bez jakichkolwiek oznaczeń, można było ze spokojem powiedzieć, że należą do osobników, którzy traktują morze jak prywatną własność i roszczą sobie prawo do pobierania opłat od wszystkiego co pływa. Opłat czerpanych wprost z ładowni i to bez zgody właścicieli. Nienaturalnie wysokie burty obu jednostek kryły zapewne balisty i katapulty wszelkiej maści. Kamuflaż z trudem krył kruki – bojowe pomosty służące do walk abordażowych.

Wśród zakotwiczonego w porcie tłumu karrak, fluit i panfin, lawirowały dwa dungiyahy z Kiszmetu o żaglach i burtach noszących ślady walki z morskim żywiołem na oceanicznych trasach. Załogi pływające na statkach kursujących w obrębie wysp Archipelagu, pokazywały sobie śmiałych żeglarzy i w niejednej duszy pojawiała się iskra, jeśli nie zazdrości, to przynajmniej podziwu.

Dookoła dużych jednostek kręciła się cała masa łodzi wiosłowych i żaglowych, piróg i tratw. Przewoziły one zarówno marynarzy jak i towary na ląd i z powrotem.

Cała dzielnica przylegająca do morza, była portowym zapleczem. Cokolwiek w niej oferowano i wytwarzano, wiązało się ściśle z potrzebami żeglarzy, skutniczym rzemiosłem i, mogącym się wydać prozaicznym wobec romantyki pływania – handlem.

– Czy jesteś pewien, że określenie "gdzieś w porcie" było wystarczającą wskazówką na ustalenie miejsca spotkania? – spytał niewinnie Ingram, popatrując na ożywiony ruch dookoła. – Możemy błąkać się tutaj, aż po zmierzchu panującej dynastii, póki wcześniej jakiś filut nie zaokrętuje nas w workach na którąś z tych kryp.

Rycerz, do którego odnosiły się te słowa, mógł tylko wykonać gest wyrażający zniecierpliwienie.

– Skoro mój przyjaciel umówił się ze mną w ten, a nie inny sposób, tu, a nie gdzie indziej, pozostaje nam jedynie dawać pilne baczenie no i znaleźć miejsce na ewentualny nocleg.

...– gdzie ma nam grozić zrujnowanie.

– Nie dramatyzuj. Na dwa dni nam jakoś wystarczy. Zwłaszcza, jeśli powściągniesz się w picu i jedzeniu.

– Kto niby?

Ruszyli, a Alendil patrząc na gardłującego Ingrama i lakoniczne riposty rycerza, zaczął się zastanawiać, na ile rozsądną rzeczą może okazać się udział w wyprawie.

Większość ze 120 lat swojego życia spędził w kniejach Beneventu, gdzie rozłożyło się wiele osad i małych miasteczek zamieszkałych głównie przez elfy. Naturalnym stanem rzeczy przywykł do puszcząńskiego trybu życia. Jego ojciec, Roklendil z Traasu, po upływie ćwierci milenia, osiągnął godność łowczego i marzyło mu się, aby jedyny męski potomek, zaszedł jeszcze wyżej. Aby ograniczyć brak *tan* przed nazwiskiem, przykładał wiele czasu do jego edukacji. Chłopiec nie miał nic przeciwko poznawaniu tajemnic lasu. Wszak był to jego świat, w którym czuł się wyśmienicie. Początkowo z dystansem odnosił się do nauki czytania i pisania, ale opanowawszy tę sztukę, poczuł do niej większy pociąg. Pochłaniał wszystkie księgi, jakie wpadły mu w ręce. Zarówno sagi sławiące czyny bohaterów, opisy dalekich krain czy historyczne traktaty. Wizja nieznanych światów podziałała na wyobraźnię i zaważyła na opuszczeniu rodzinnych stron. Na początku szerokim światem okazało się Elsnergar – liczące kilkadziesiąt tysięcy dusz miasto, gdzie Roklendil miał znajomego kupca – orka. Załatwienie pracy dla młodego elfa, nie było dlań problemem. Oczywiście chłopak uważał tę służbę za hańbę. Czyż nie był w Olgrionie (prawda, gdy miał 30 lat i pod opieką rodziców) więc czy można porównywać metropolię z tą śmierdzącą dziurą? Czy nie stawał ramię w ramię z dorosłymi podczas masakry w Cranie, która zabrała mu siostrę, ale również pozbawiła żywota tyłuż chałastry z psiarni Katana? Ale ojciec okazał się nieustępliwy. *Życie nie polega tylko na uganianiu się po lesie i szpikowaniu każdego napotkanego tfu, orka strzałami* – mawiał Roklindil. – *Musisz nauczyć się współżyć z innymi mieszkańcami naszego*

świata. Potraktuj tę pracę jako sprawdzian przed wkroczeniem w dorosłe hm, życie. Nie było rady. Alendil nie zdecydował się na ucieczkę z domu. Przetrwał te parę lat zagryzając zęby, poznając język i obyczaje rodziny pryncypała. Handlu się nie nauczył, ale za to wyrobił nieco mięśnie, dźwigając towary na znaczne nieraz odległości, pomagał w kuchni, a ponieważ władał biegle wspólnym i reptillioniskim, służył wszędzie tam, gdzie nieodzowny okazywał się tłumacz. Gdy uznał, że chlebowadca przebrał miarkę w wykorzystywaniu jego osoby, wykorzystał nabyte słownictwo, by skłąć orka w jego najczystszej mowie i nie zatrzymał się w drodze, póki nie zobaczył murów Ostrogaru. Tu, w miesiącu świątecznym można było spotkać śmietankę zarozumiałości świata mężczyzn, dla których miano awanturnika stanowiło zaszczyt, a nie hańbę.

Żółtodzioby i starzy wyjadacze, przedstawiciele najróżniejszych ras, profesji i warstw społecznych, zbierali się w stolicy by odpocząć po wyprawach, powspominać przyjaciół, którzy odeszli do krainy cieni, wreszcie na ich intencję, a wrogom na pohybel, zabawić się na całego. Sprzedawano łupy, wymieniano szeptem informacje, płacono za usługi, przed którymi wzdragał by się każdy uczciwy obywatel, wreszcie werbowano nowych kandydatów na bohaterów. Przypominało to handel żywym towarem, z tą różnicą, że "przedmiot" zainteresowania na ogół z własnej woli przystawał do jakiejś grupy. Choć bywało i tak, że zasnawszy pod stołem jakiejś karczmy, budził się przewieszony przez siodło konia, a pierwszy raz widziani ludzie oznajmiali mu radosną nowinę o wspólnej podróży w jakieś zakazane miejsce, o którym nigdy nie słyszał, albo wolał nie słyszeć. Natomiast marzeniem każdego nowicjusza było wkręcenie się do drużyny wytrawnej i doświadczonej. Alendil nie stanowił wyjątku. Toteż napotkawszy na swej drodze męża o śmiałym spojrzeniu w szmelcowanej zbroi, mówiącym przejmującym i porywającym głosem o czynach, których dokona każdy pod jego dowództwem, nie namyślając się wiele, zaproponował swe usługi nieznanemu rycerzowi. Młody elf nie miał pojęcia, bo i skąd, że profesjonaliści nie wyrzaskują swoich ofert na placach i po zajazdach. Wkrótce okazało się, że nie tylko reszta skompletowanej w ten sposób drużyny, ale i sam agitator mimo poważnego wieku, okazali się zieloni. A gdy wyszło również na jaw, że rycerz oprócz ostróg i miecza nosi godność paladyna, jego autorytet w grupie obrał tendencję zniżkową, a Ingram przy każdej sposobności raczył wszystkich kwestią, że dobry paladyn to martwy paladyn. Jego pogląd podzielał chyba również Chivas, z którym spotkali się w drodze do Gasty, z tym, że czarodziej mówił to w żartach, a krasnolud myślał naprawdę.

Te wszystkie dowcipy, złośliwe uwagi na boku i aluzje nie robiły wrażenia na rycerzu. Najczęściej udawał, że nie słyszy i ignorował dowcipnisiów. Za to nie omieszkiał obwołać się przywódca drużyny i zapewnić sobie dwóch głosów w przypadku zbiorowego podejmowania decyzji.

– Potrzebny jest ktoś – mówił – do reprezentowania ogółu. Biorąc pod uwagę mój status społeczny i życiowe doświadczenie. Czy ktoś ma inną propozycję?

Nikt nie wysunął swojej kandydatury i paladyn mógł się uważać za niekwestionowanego wodza.

– Widzicie, mam już zaklepane zlecenie – przedstawiał kolejny argument, jakby chciał upewnić wszystkich, że dokonali właściwego wyboru. – Wśród osób, które zaliczam do moich przyjaciół jest pewien cudzoziemiec z bardzo odległych stron. Swojego czasu wyświadczył mi drobną przysługę, potem jakiś czas wspólnie podróżowaliśmy. Napomknąłem mu o swoich planach na przyszłość, a on przyklasnął mi i zaproponował malutki wypad na południe. W zacnej kompani. Rozstaliśmy się w Ranhar-garze, ustalając Gastę jako miejsce spotkania. Nie pozostaje nam nic innego, jak kupić żywność, konie i ekwipunek.

Musieli liczyć się z każdym groszem. Co prawda każdy miał broń i trochę kłopotów, ale na podobny rajd było tego stanowczo za mało. Tylko na wierzchowce poszła lwia część gotówki.

– Popatrz na tego jegomościa – Ingram szturchnął Alendila w żebra, aż ten mało się nie zgiął. – Czy to nie nasz cudzoziemiec?

Osobnik, który zwrócił uwagę półorka, był człowiekiem niskim, o żółtej, jakby niezdrowej cerze, skośnych oczach i długich, czarnych włosach związanych w warkoczyki. Obszerne szaty z grubych i ciężkich materiałów sięgały ziemi. Biło od niego bogactwo, władza i pogarda wszystkich i wszystkiego dookoła.

Alendil przyglądał się nieznajomemu, póki ten nie zniknął w jakimś składzie.

– Nie. Co prawda w tamtejszych okolicach żyją i tacy, ale paladyn wspominał o nim jako o Selvicie, ci zaś mają cerę białą, ewentualnie śniadą i całkiem normalne oczy. Głowę dam, że to nie on.

Od kilku dobrych godzin włóczyli się po portowych uliczkach. Po krótkim odpoczynku w zajeździe postanowili zrobić przed zmrokiem krótki wypad na miasto. Nie liczyli specjalnie, by ślepy traf postawił przed nimi poszukiwaną osobę. Jeśli nawet do kogoś zagadali, to nie w tym celu. Ostatecznie sami nie wiedzieli, kogo konkretnie szukać, bowiem paladyn udzielił nader lakonicznych wskazówek. Ingram w ramach niewyczerpanego na ów dzień zasobu dowcipów zaproponował, aby sporządzić na pergaminie wielki napis – *Przybysze z Archipelagu Wschodniego mile widziani*, ale rycerz całkiem poważnie odparł, że zbyt zwracałoby to uwagę. Ostatecznie postanowili potraktować wycieczkę wyłącznie dla rozprostowania kości.

Gdy zmęczenie zaczęło dawać się im we znaki, zgodnie obrali kierunek powrotny. Trzymając w dłoniach tytkwy z sorbetem, kupionym u ulicznego sprzedawcy, szli wolnym krokiem osób, które mają czas na wszystko. I chyba tym najbardziej wyróżniali się z pośród zaganianego tłumu. Ale nawet w ponurych zakamarkach, gdy przypadkiem do jakiegoś trafili, nie witały ich wrogie spojrzenia, żaden podejrzany cień nie zwrócił ich uwagi. Jedyne nieprzyjemne słowa usłyszeli z ust pijanego marynarza, który winą za swój los i brak srebra na naprawdę ostatnią kolejkę, obciążał cały świat.

Alendil chciwie chłonał każdą minutę pobytu w mieście. Mimo, że zwiedził ich kilka, zawsze była to okazja do zobaczenia czegoś nowego.

Oto małauk w przeszywanicy i parą mieczy na plecach. Czteroręki olbrzym szedł środkiem ulicy, ostentacyjnie demonstrując swój wzrost i siłę, dźwigając w jednej parze rąk olbrzymi kufer, a w dwóch pozostałych marynarskie worki.

Otwartą lekturę obitą złotogłowieм dźwigało czterech półorków, a w środku rozwalał się nieprawdopodobnie spasiony krasnolud. Woń pachnideł z trudem tłumiła odór niemytego ciała, bowiem nawet bogaci przedstawiciele tej rasy stronili od wody i mydła.

Dalej nowe dziwo, dwaj ludzie prowadzili za uzdę gryfa. Potężne stworzenie stapało z gracją dzikiego kota i wydawało się całkowicie uległe swym właścicielom. Jedyne co pewien czas rozpościerało jakby z ulgą skrzydła i wówczas sięgało ich końcówkami do przeciwległych domów ulicy.

Alendil z ciekawością przyglądał się zwierzęciu, sam dosiadł raz tylko pegaza i to nie mającego ochoty nawet na najkrótszy lot, i znaczenie okrzyku przebiegającego ulicznika, dotarła doń dopiero po chwili. " W <Kulawym Flamanie> usiekli smoka !".

Ukatrupienie smoka już samo w sobie stanowiło sensację. A dla obu poszukiwaczy przygód dodatkowym bodźcem do sprintu był fakt, że wydarzenie miało miejsce przy karczmie, w której się zatrzymali.

Smoków nie zabija się ot tak sobie. Kontakty z odmiennie myślącymi istotami nauczyły bestie

ostrożności, a na nachalnie stosowane trucizny, ród smoczy z czasem się uodpornił. Nawet stosunkowo niewielki okaz był w stanie rozproszyć koczowniczy oddział orków. A to przeszło ponad 100 świetnie uzbrojonych i wielce doświadczonych wojowników. Duży i inteligentny gad, zwłaszcza posiadający magiczną moc, mógł stawić czoła kohorcie. Dlatego trudno było sobie wyobrazić, jaki gatunek nawiedził Gastę i dał się haniebnie zarznąć pod byle spelunką.

<Kulawego Flamana> otaczał spory tłumek gapiów. Wszyscy gadali jak najęci, chichotali, a biegnące dookoła dzieci dopełniały rejdachy.

Ingram i Alendil, nie czekając aż ktoś zrobi im miejsce, puścili w ruch łokcie i przebili się przez ciżbę. Ale nie takiego widoku się spodziewali.

Na wprost wejścia do karczmy leżało stworzenie wielkości sporego cielęcia. Miało czarną, długą sierść, a ze łba można go było wsiąść za wilka, gdyby nie olbrzymie kły i rubinowe ślepia nie mniejsze niż pięść ludzka. Cały zewłok był obficie skąpany w posoce i zielonkawym, świecącym śluzie. Obok stał paladyn – również zielony, ale chyba bardziej ze złości niż wskutek ochlapania dziwnym specyfikiem. Wciąż trzymając miecz w ręku, prowadził ostrą konwersację, w każdym razie zapewne prowadził, na co wskazywały ruchy warg. Jednak jego głos skutecznie zagłuszały rozpaczliwe wrzaski małego gнома. Miniaturka zniekształconego człowieka wymachiwała pięściami, na przemian darła szaty i próbowała się wyrwać z uścisku drugiego osobnika tej samej rasy. Sądząc z ubioru, obaj byli zapewne zamożnymi mieszczanami, jakkolwiek młodszy miał na plecach młot bojowy, nader misternie wykonany, a także kapalin na głowie.

– Jak to się odbyło? – spytał Alendil druida, nachylającego się właśnie nad ubitym stworzeniem.

– Paladyn chciał pójść do stajni, by sprawdzić, czy należycie zajęto się jego rumakiem. Nieomal w drzwiach nadział się na miakka. Ryknęli chyba jednocześnie, a nim kto zdążył się choćby ruszyć, było po wszystkim. Teraz właściciel, bo zwierz, jak się już domyśliłeś, nie był dziki, żąda odszkodowania.

– A będzie ono wysokie! – wydarł się gnom, który dziwnym trafem usłyszał ostatnie słowa elfa. – Tresowany miakk. Miałem go ćwierć wieku, a ile kosztował...

– To teraz zaoszczędzisz na utrzymaniu – nie omieszkał wtrącić Ingram. Gnom odwrócił się jak oparzony w stronę czarodzieja i byłby pewnie nań skoczył, gdyby nie uścisk, w którym był uwięziony. – Kary wszystkich bogów by na was było za mało, awanturnicy. Że też święta ziemia nosi takie plugastwo.

Podobnej obrazie paladyn znieść nie mógł tak gładko, jak poprzedniego trajkotania.

– Uważaj! – odparł bezzwłocznie – aby oskarżenia nie odwróciły się przeciw tobie. Ewidentnie złą bestię po mieście ciągasz, ludzi spokojnych straszysz, nawet do przybytku onego chciałeś ją wprowadzić.

– Sama wlaźła – odparł nieco ciszej gnom. – A zła ona tylko dla wrogów.

– Nie wiem kogo uważasz za wroga, ale kto posługuje się złem wcielonym, sam uczciwy być nie może! – rycerz schował miecz do pochwy, wytarwszy go wcześniej, po czym skrzyżował ręce na piersi, uważając tym temat za wyczerpany. Oczywiście jego adwersarz był odmiennego zdania.

– Niechaj więc sędzia rozstrzygnie nasz spór. – zaproponował, zastanawiając się jednocześnie, ile weźmie sędzia za rozpatrzenie sprawy na jego korzyść, czy też taniej wypadnie przekupić świadków. Oczywiście o ile ten dumny człek na to pójdzie.

– Zgoda – odparł paladyn. – Moja sprawa czysta przeto bez obaw poddam się wyrokowi. Ale zmuszony jestem odłożyć niezgodę na przeciąg miesiąca, bowiem inne zadanie przede mną. Oznacz konkretny termin, a stawię się bez wahania.

– A taki! – gnom zapewne pokazałby obelżywy gest, ale jego towarzysz w dalszym ciągu nie

luzował uchwytu. – Kto mi zaręczy, że nie znikniesz wśród tysięcy wysp, a moje pieniądze przepadną?

– Czy dla ciebie słowo rycerskie jest bez znaczenia? Klnę się tu i w tej chwili na cześć i miecz, biorąc Asteriusza i wszystkich tu obecnych na świadków, że...

– Dobrze, dobrze – wierzę. Tylko co mi z tego, jeśli przez ten czas ktoś cię usiecze, co wydaje mi się wielce prawdopodobnym?

– Jedź więc z nami i miej pieczę nad naszym szlachetnym druhem. – Ingramowi nigdy nie brakło dobrych rad na poczekaniu. Tym razem obaj przeciwnicy zgodnie spojrzeli na czarodzieja. Z ich min można było wywnioskować, że propozycja została odebrana, przemyślana i odrzucona w przeciągu chwili. Ale tylko nielicznym udało się speszyć półorka. Powód i pozwany przyszłego procesu do tej grupy nie należeli.

– Wiem, wiem, moja propozycja was zachwyciła do tego stopnia, że postradaliście głos, niemniej dla ustalenia szczegółów naszej współpracy, wejdźmy raczej do karczmy. A jeśli przy wejściu staną nasze dzielne elfy, żaden, he he smok, a nawet miakk, nie zakłóci nam spokoju.

Znikających w Kulawym Flamanie pożegnał huragan śmiechu.

– To są kpiny, mości panowie, kpiny, z jakimi się nie spotkałem. – gnom i "mości panowie" siedzieli za dębowym stołem i pociągali cienkie piwo. Ścierwo miakka złożyli tymczasowo, mimo protestów karczmarza w sieni. – Wiele widziałem i rozumiem prawa młodości. – tu przerwał, słysząc chrząknięcie paladyna. Rycerz przekroczył czterdziestkę już parę lat temu.

– W zasadzie nie mam nic przeciw osobom waszej profesji. Ba, kiedyś sam chciałem przeżyć coś więcej, niż ryzyko ujemnego salda w kantorze. I możecie wierzyć, że niemało zdrowia straciłem, by wybić ten pomysł z głowy syna – wskazał kciukiem swojego towarzysza.

– Chyba nie zupełnie, bo żelastwo na plecach i głowie taszczy – zauważył usłużnie Ingram.

– Niechby i drugie tyle taszczył, a zaniechał gadania, ile to można zyskać w wyprawie, a ile ważąc imbir i goździki nie wychodząc ze składu.

– Mam rozumieć, że kupczenie nie należy do najbardziej popularnych zawodów wśród dzisiejszej młodzieży?

– Właśnie, a przynajmniej osiadłe, tradycyjne. Ale zbyt odeszliśmy od tematu. Możemy się jakoś dogadać...

Dobrze naoliwione drzwi nawet nie skrzypnęły, przepuszczając do wnętrza karczmy jeszcze jednego gościa. Paladyn dojrzał go pierwszy. Odsunął prawie ze wstrętem kufel piwa, podnosząc się na powitanie człowieka, dzięki któremu wyprawa w ogóle się rozpoczęła. Ze spokojem mógł przyznać gnomowi rację, że teraz z pewnością się dogadają.

Rozdział III

Morze

– Żagiel od dzioba! – krzyk majtki stojącego na "oku" nie wzbudziłby zainteresowania nikogo, gdyby byli o dzień drogi od Gasty, do której, jako wielkomorskiego portu, przybywały statki ze wszystkich stron świata. Ale w odległości 200 mil od Orkusa Wielkiego każdy napotkany statek mógł należeć do Białych lub Czerwonych Piratów, względnie innych, nie zrzeszonych morskich rabusiów. Ten, który wychylił się właśnie zza jednej z licznych wysepek, był jednostką potężną, o piramidzie żagli wspomaganych wiosłowym napędem.

Okręt zrobił zgrabny, jak na kolosa zwrot i połączany galion, przedstawiający bliżej nieokreśloną

bestię, wymierzył prosto w jednorzędowiec awanturników.

– Idzie prosto na nas – powiedział Alendil.

– Trudno tego nie dostrzec – Ingram zmrużył oczy, aby lepiej widzieć nadpływającego. – Musi mieć ze dwieście kroków długości, pięćdziesiąt balist na pokładach i osiem setek załogi.

– Ośmiuset ludzi?

– Ba, nawet tysiącosobowa załoga nie jest rzadkością. A na pokład flagowego czterdziestorzędowca Orio–gar hana załadowano 4 tysiące samych wioślarzy. Co prawda ów olbrzym zatonął podczas swojego drugiego rejsu i był strasznie niezdarny i powolny, ale fakt istnienia podobnych jednostek jest niezaprzeczalny. Gdy jeszcze służyłem we flocie...

– O czym rozmawiacie? – rozległ się za nimi ziewający głos paladyna. Rycerz kiepsko znosił podróż i na ogół spał pod pokładem.

– Mamy galeasę na kursie kolizyjnym, o bliżej nieokreślonych zamiarach w stosunku do nas.

– Piraci ? – ręka paladyna opadła na głowicę miecza.

– Wątpię.

– To może z eskadry stacjonującej w Gaście.

– Nie!

Reptillionka Aisha miała odmienne zdanie w tej kwestii.

– Moi bracia znają pojęcie honoru. Morskie prawa również. Wywiesiliby banderę. Ten nie ma żadnej.

– Niby prawda – odparł paladyn. – Proponuję zapytać się kapitana, co o tym sądzi.

– Pewnie to samo, co ja: po czołowym zderzeniu my pójdziemy na dno, a tamten nie. Ale nie krępuj się, wodzu...

Kapitan Gerain łysy i brodaty gnom, pełniący dodatkowo obowiązki sternika, o ile ten miał wolną wachtę, jak było w tej chwili, stał przy wiośle sterowym.

– Zaiste, tylko bogowie wiedzą, co to za statek. Podobnych widziałem setki w różnych służbach. Ale bez względu na przynależność, jeśli nie zmieni kursu, to nim pacierz upłynie, rozpołowi nas i nawet nie zauważy, że miał kogoś na swojej drodze.

– Muszą nas widzieć, skoro my ich widzimy.

– Masz rację, dostojny panie. Tym niemniej kursu nie zmienili choćby o rumb.

– Więc my to uczynimy, potem zobaczymy, jak zareagują.

– Nie mogę – odparł gnom. – Nawet teraz mamy pod kilem najwyżej stopę wody. Bliżej brzegu tej wysepki będę szorował po rafie. To diabelstwo zedrze nam dno po stępkę, jeśli wcześniej nie ugrzęźniemy.

– A w lewo to nie łaska?

– Nie denerwujcie się, panie. Widzicie te grzywacze? Pędzą nie do brzegu, ale doń równolegle. To oddech węża Ut – Napuma. Połyka on wodę wraz z wszelakim stworzeniem, a nażarłszy się – wypuszcza i stąd kipieli. Jeśli skieruję tam statek, ani się obejrzy, gdy dnem do góry się obrócimy.

– Bajdy. To zwykły morski prąd.

– Ale wystarczająco silny, by nas pokonać.

– Cóż, byłem tylko bosmanem ...

– A ja sądzę, że możemy zaryzykować trasę przy brzegu.

Na pokładzie zapanowała przez chwilę cisza, bowiem słowa wypowiedział nie kapitan, ale szósty pasażer, a od trzech dni ich nowy towarzysz i jednocześnie chlebodawca. Selvita cały czas znajdował się na pokładzie, ale od początku podróży rozmawiał jedynie z dowódcą okrętu, który jedynie okazywał mu szacunek, lub paladynem. Awanturnicy traktowali go z rezerwą, a załoga wprost się bała. Teraz w jego głosie zabrzmiała taka moc, że gnom odruchowo wykonał polecenie.

Gdzieś spod dna rozległ się zgrzyt. Stateczek drgnął, jakby znieruchomiał na moment, potem poddał się łagodnej fali, zachybotał, zwalając z nóg druida, wreszcie uspokoił się.

Jakby dopiero teraz zorientowawszy się, co uczynił, kapitan ośmielił się zaprotestować.

– Utoniem, panie.

Ale cudzoziemiec poklepał go tylko uspokajająco po ramieniu. Z każdym dotknięciem gnom odsuwał się odrobinę, skutkiem czego statek wykręcił jeszcze bardziej.

– Bądź spokojny, nic nam się nie stanie. Wyrównaj tylko kurs, bo zaraz zrobimy nową zatokę w tej wyspie.

Tego nie trzeba było dwa razy powtarzać. Żeglarz wykonał polecenie i rozkraczywszy się, by lepiej utrzymać równowagę w przypadku kolejnego wstrząsu, utkwiał wzrok przed dziobem. Za każdym głośniejszym skrzypem czy szurnięciem, mamrotał zaklęcia do znanych sobie duchów i bogów z prośbą o opiekę. Ruszał przy tym uszami i Ingram nie mógł się powstrzymać przed jego naśladownictwem, co mimo niewesołej sytuacji wyzwoliło u pozostałych śmiech.

– Ciekawym, czy on wie o tym prądzie – zastanawiał się głośno paladyn, gdy opanował chichot.

– Kto ?

– No tamten – ruszył głową w kierunku galeasy, która była już w zasięgu strzału z łuku.

– Musi wiedzieć! – wycharczał gnom przez zaciśnięte zęby. – Płynie jak po sznurku.

– Ten twój prąd, czy jak wolisz – waż, mógłby coś mu zrobić?

– Gdzie tam, panie. Nie takiej bestii. Zresztą i my mogliśmy poddać się jego biegowi, ale w przeciwną stronę.

– Dlaczego więc nie skręcił, skoro wiedział, że dla nas to zguba?

– A dlaczego przysłowiowy pies leżący na stogu siana sam go nie je i bydłu nie daje? – zapytał Alendil. Elf wpatrywał się w nadpływający okręt takim spojrzeniem, jakby chciał go zatopić. – Mogę wam powiedzieć, do kogo należy te monstrum, choć nigdy go nie widziałem.

– Cisza! – zawołał Ingram, choć nikt więcej się nie odzywał – Słuchamy eksperta. Oświeć nas, ciemnych.

Łucznik puścił drwinę mimo uszu. Był chyba zbyt podniecony, by zareagować.

– Tylko jednemu jest obojętny los innych. Gotowy wzgardzić słabszym. My dla niego po prostu nie istniejemy. Nie ma nas ani milionów innych. Nie zauważa nas, tak jak ty nie zwracasz uwagi na, powiedzmy mrówki.

– Jeśli czerwone i gryzą, to je zauważam.

– Dobre porównanie. Trzeba coś zrobić, nie płacić podatków, zgnieść jego garnizon, czy po prostu powiedzieć *nie*.

– Tak, masz rację. To Katan. – powiedziała Aisha, a w jej głosie, podobnie jak u Alendila, można było wyczuć nutę nienawiści. Niechęci między dwoma rasami nie wygasły mimo dobrych paru tysięcy lat, jakie minęły od czasów wielkich wojen.

– Rządowy okręt? – spytał paladyn, bardziej by rozładować atmosferę, niż z ciekawości. – Co oni tutaj robią?

– W tej chwili nas mijają. – odparł uprzejmie Ingram. – Możesz im pomachać.

Odkosy dziobowe pierwsze dosięgły jednorzędowiec. Potem gigantyczna masa przysłoniła horyzont. Olbrzymie żagle furkotały na masztach, a parę setek wiosł regularnie zagarniało wodę, ochlapując przy okazji mały stateczek. Wzdłuż burty stało kilkunastu członków załogi. Pokazywali sobie mijaną jednostkę, kilku się roześmiało.

– Ani chybi orki – Gerain nabrał powietrza w płuca – Obyście skończyli na ołtarzu Morghlitha, psie syny. Opasy wam paść, a nie po morzu żeglować.

– Idą tempem przyspieszonym, minimum sześć mil – dodał Ingram. – Słyszycie wybijany rytm?

Rzeczywiście, poprzez szum wody dochodził przytłumiony głos.

– A może ktoś ich goni? – ta drobna uwaga wypowiedziana przez Selvitę, wyraźnie zaniepokoiła gnoma. Jeśli ten olbrzym miał powody do wycofania się z okolicznych wód, to tym bardziej oni nie mieli tu czego szukać. Swoimi wątpliwościami nie omieszkał podzielić się na głos.

Rycerz nie mógł nie podnieść go na duchu.

– Wszelakimi kłopotami zajmę się ja i moi ludzie. Od tego przecież jesteśmy. Żegluj tedy śmiało, pod naszą opieką nic ci nie grozi.

– Popatrzcie! – zawołał w pewnej chwili Alendil. Galeasa, płynąca w przeciwną stronę, zdążyła się znacznie oddalić, ale nie na tyle, by nie widać było nowego szczegółu. Na maszt wspięła się błękitna bandera. Ten piękny skądinąd kolor, był zniechęcającym symbolem przez wielu mieszkańców Orchii. Po kwadransie flaga zlała się z konkurującymi odcieniami morza i nieba, a przez kolejne parę godzin o spotkaniu przypominała coraz mniejsza plama na horyzoncie i przeciekające dno.

Marny byłby los panującej dynastii, gdyby spełniła się choć część klątw miotanych przez załogę zmuszoną do wyczerpywania wody.

Spotkanie z galeasą miało dziwny wpływ na samopoczucie grupy. Kłócono się o byle co, w czym przodował Ingram i kapitan Gerain. Również marynarze patrzyli krzywo na awanturników. Aby zapobiec dalszym fermentom paladyn wysunął śmiałą teorię, że wszystkim winne są czary. *Na galeasie musiał być mag i to on rzucił na nas zaklęcie.* – dowodził.

Ingram nie omieszkał natychmiast odczynić uroków, podczas których zużył cały zapas rumu, spalił zioła, o mało nie podpalił całego statku, wreszcie autorytatywnie stwierdził, że okręćka wolny jest od wszelakiego zła. Więcej, zło nie będzie miało nań wstępu przez dni 30, jeśli on sam na nim pozostanie.

To rozładowało sytuację, a Gerain z miejsca ofiarował mu stanowisko swojego zastępcy. Półork podziękował, obiecał że się namyśli i da odpowiedź na zakończenie misji. A gdy żeglarz zaczął go indagować na jej temat, został uraczony opowieścią o czarach tak wielkich, że każda świątynia Seta byłaby miłym schronieniem, w porównaniu do miejsca, gdzie się udają. Po tym wyjaśnieniu zainteresowania gnoma znalazły ujście w skoncentrowaniu się na żegludze.

Polepszenie stosunków awanturnicy – załoga, nie było równoznaczne ze zgraniem wewnętrznym drużyny. Alendil snuł się po pokładzie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, Ingram zabijał czas grą w kości z załogą i nie starał się nawet oszukiwać, druid medytował całymi godzinami pod głównym masztem, a reptillionka gapiała się w horyzont, nieruchoma niczym posąg. O tym, żeby z kimś porozmawiać na najbłahszy temat, nie było nawet mowy i zaniepokojony paladyn dzielił się swoimi

troskami z Selvita.

– Coś im jest – mówił kręcąc głową. – Spójrz tylko, kompletny brak zapachu. Gdy opuszczaliśmy Ostrogar wydawać by się mogło, że są gotowi stawić czoło smokom, a teraz? Nie chwając się, mógłbym powyrzucać ich za burty jedną ręką, a oni pewnie by nawet tego nie zauważyli.

– To skutek braku zajęcia. Byli przygotowani na przeciwności już za bramami stolicy. Tymczasem mieliście drogę bezpieczną, jednostajną, teraz też nic się nie dzieje. Resztki energii wyparowały z nich, gdy okręt Katana minął nas bez żadnej reakcji. Ha, gdyby oprócz Ingrama reszta знаła się na żeglowaniu, zainicjowałbym chyba bunt załogi.

– Nie najlepszy pomysł, pociekłaby niewinna krew. Ale postaram się podnieść ich na duchu. – Rycerz odepchnął się rękami od burty i kołysząc się w niezgrabnym naśladownictwie chodu ludzi morza, ruszył zdobywać serca i dusze.

Przy Aishy i druidzie długo nie zabawił – z lekceważyli go. Gdy zbliżył się do grających i zaproponował przyłączenie się, jeden z majtków uczynił ruch, jakby chciał zrobić miejsce, ale Ingram popatrzył na niego i ten udał, że chodziło mu o wyciągnięcie z kieszeni nowej stawki do następnej kolejki. *"Tylko spróbuj"* – zdawał się mówić wzrok półorka.

Z lekka zniechęcony rycerz dostrzegł Alendila, zbliżającego się właśnie do burty w miejscu, gdzie stał Selvita. Elf nie uczynił tego z sympatii do obywatela Kiszmetu, lecz z konieczności złożenia ofiary bogom mór, kołysało bowiem ostro od rana. Paladyn odczekał dłuższą chwilę, a gdy twarz łowcy z zielonej zrobiła się prawie normalna, zaczął przemowę, która zagrzała by serca największych sceptyków i podniosła na duchu ofiary ciągnięte do świątyni Seta.

"Dawno nie słyszałem takiego potoku komunałów i bzdur tak efektownie wypowiedzianych" – pomyślał Selvita, przysłuchujący się monologowi. Elf najwyraźniej był podobnego zdania.

– Warg cię trąca – mruknął. – Chyba tylko chory na umyśle może się cieszyć, że za dwa dni będzie mógł do woli zabijać.

Paladyn nie obraził się jednak. Odczuł nawet zadowolenie, że doczekał się jakiejś reakcji. Już sprowokowanie odpowiedzi było w połowie sukcesem. Teraz tylko należało nie dać zgasnąć płomykowi rozmowy, a w odpowiednim momencie przedstawić niezbite argumenty swojej racji.

– Niedobrze się dzieje, gdy wojownik opuszcza miecz, nim doszło do bitwy. A jeszcze gorzej, gdy wątpi w słuszność sprawy.

– Jakiej sprawy? Czy złodzieje grobów mogą mówić, że ich zajęcie przynosi zaszczyt miast hańby? – te oskarżenia zbiły na chwilę rozmówcę z tropu.

– Co prawisz? Nie będziemy grabić żadnych grobów. Nasza misja polega na czymś zupełnie innym.

– Właśnie nie wiem. Nasz szlachetny cudzoziemiec nie raczył wyjaśnić żadnych szczegółów.

Osoba, do której adresowano słowa, poruszyła się. Chłopak miał rację. Dwa miesiące temu w kilku słowach przedstawił paladynowi sytuację, a ten równie ogólnikowo, chociaż z niemałą dawką ozdobników przekazał ją grupie. W skrócie wyglądało to następująco:

Na pewnej wyspie znajduje się świątynia, jedna z całej sieci oplatającej wszystkie archipelagi. Od wieków budowle są opuszczone, częściowo zniszczone i zasypane. Należy się do niej dostać, odszukać pewien drobiazg i wyjść, w miarę cało. Wszystkie cenne przedmioty, za wyjątkiem słowa pisanego, miały przypaść w podziale dla poszukiwaczy.

– Posłuchaj – powiedział Selvita – O tych świątyniach ludzie i bogowie zapomnieli dawniej, niż sięga twój ród. Nie ma ani kapłanów, ani wyznawców, a bóstwa istniały tylko w wyobraźni tych ostatnich. Za parę stuleci z tych resztek nie zostanie ślad. Wchłonie je las, pustynia, spoczna na dnie

nowych jezior, na ich miejscu pobudują miasta. My mamy okazję ocalić jakąś część historii. Zobaczymy coś, co powstało nieprawdopodobnie dawno. Może później opowiemy o tym naszym dzieciom, a może tylko w przydrożnej karczmie. Jakiś bard ułoży strofy... Jeśli nie w kronice, to choćby w pieśni pozostanie cień. Popatrz na to od tej strony.

Elf słuchał, patrząc prosto w oczy mówiącemu. Prawdopodobnie przetrwał słowa. Paladyn zaś kiwał głową, co widać oznaczało, że w pełni zgadza się ze słowami. I żeby utwierdzić wątpliwego w słuszność misji, dodał: – Po tylu latach, jakie upłynęły od czasu, gdy ostatni wierni odprawiali tam modły, jest rzeczą wątpliwą, byśmy tam kogokolwiek napotkali. Ale jeśli przyjdzie nam popracować mieczem, przeciw nam staną istoty tak złe, że za ich zabicie może na nas spłynąć co najmniej błogosławieństwo Asteriusza.

– Czy równie złe, jak ten miakk w Gaście? Moim zdaniem zarąbałeś go bez powodu. "A raczej z przestachu" – pomyślał Alendil, ale nie powiedział tego głośno.

– Bardziej złe, niż sobie wyobrażasz – rycerz nie miał ochoty na wnikanie w przyczynę, jakie go pchnęły do walki ze stworem. Teraz popatrzył na Selvitę. – Nasz przyjaciel zapewniał mnie o tym.

Ten ostatni zrobił ruch, jakby chciał się cofnąć, a najlepiej zniknąć. Rzeczywiście, nie żałował wyobraźni, by mieszkańców chramu przedstawić w najczarniejszych barwach. Zarysowanie sytuacji w podobny sposób, mobilizowało paladyna, ciętego na ewidentne zło. Tymczasem rycerz zadał kolejny cios w słownej szermierce.

– Zaiste, twoje zachowanie jest dziwne. Ubolewasz nad wcielonym diabłem, ale parę dni temu sam widziałem w twych oczach rządę mordy. Zapewne załogę tego statku stanowiły uczciwe orki.

– Nie wliczając tego maga, który rzekomo rzucił na nas czary.

– Teraz to nie ma nic do rzeczy. I to ci powiadam – sprowokujesz kiedy awanturę i tkniesz palcem orka, oczywiście o ile pierwsze wyzwanie nie będzie od niego, skrzyżujemy miecze. – paladyn skinął głową i ruszył wolno ku schodni. Lecz nim zszedł pod pokład, odwrócił się jeszcze – I możesz wówczas nie liczyć na udział w zdobyczy! – krzyknął na pożegnanie.

Ale kilka minut później, w małej, ciasnej kabinie, którą dzielił z Ingramem, wątpliwości zakołatały i do jego duszy. Ośrodek kultu, bezwzględnie do jakiego bóstwa należący, był miejscem świętym. Wdarcie się doń i łagodnie mówiąc, penetrację, wielu kapłanów mogło uznać za zbezczeszczenie.

Och, jak mógł się omamić temu przybłędzie zza mór. Przysiągł z własnej woli, że podejmie się realizacji misji, o której nic nie wiedział. A mógł przecież zażądać konkretnych wyjaśnień, zrobić jedno i drugie zastrzeżenie. Postąpił jak smarkacz, gołowąs, co to ledwo po zdobyciu ostróg uważa, że świat stoi przed nim otworem. Gdyby wygłupił się tak 20 lat temu, byłoby to wybaczalne. Cóż, kiedy będąc młodzieńkiem zabawiał się uczonymi księgami, czarami, ba – został klerykiem, a przygód i wojaczki zachciało mu się, gdy na skroni pojawiły się pierwsze siwe włosy, dobrze przynajmniej, że niewidoczne na tle blond czupryny.

Ale to wszystko, tak czarno wyglądając teraz, miało inne barwy pewnego jesiennego popołudnia...

Ledwie zdołał wrócić z powrotem do karczmy. Przemoczony i ubłocony, na wpół sparalizowany strachem. Przecież tam na podwórzu, zamiast dwu obcych ciał, mógł leżeć on sam. Przecięty na pół bastardem, a wcześniej powalony zdradziecko przez tego drugiego.

Pierwszy cios drzewcem włóczni w nogę wytrzymał z trudem, kolejny rzuciłby go na ziemię. Selvita uprzedził ogra zwykłymi widłami. Potem była długa, wspólna podróż, jeden i drugi szczegół wart odnotowania, wreszcie lekkomyślnie rzucona obietnica. Teraz narażał się na utratę honoru lub zemstę bogów. Zresztą honor postrada tak czy siak. Bogowie? Ci na szczęście nie zawsze zauważają potknięcia małuczkich. A już on dopilnuje, żeby nikt z drużyny nie tknął nawet palcem

ołtarzy, czy przedmiotów kultu. Za cudzoziemca odpowiadać nie może. Jakieś upomnienie, najwyżej. Zaś po powrocie ofiaruje połowę swojego udziału na ofiarę, a nawet proponuje ostrogarskim kapłanom, że na własny rachunek, choć może nie teraz, zamieni świątynię w przybytek Asteriusza.

Cudzoziemiec nie poszedł w ślady paladyna. Stał chwilę nieruchomo, wreszcie usiadł obok elfa. Długo milczeli, nim wyraźnie znudzony Alendil zdecydował się zagadnąć pierwszy.

– Nałgałeś mu? – spytał i popatrzył na wejście pod pokład.

– Komu, co?

– No, o tej świątyni, że niby jest ewidentnie zła.

Selvita uśmiechnął się w odpowiedzi. – Na twoim miejscu zadałbym sobie pytanie, czy ewidentne zło w ogóle istnieje.

– A można mieć w tej materii jakieś wątpliwości? Nawiasem mówiąc, wielu uznałoby cię teraz za bluźniercę.

– A ty?

Łowca skrzywił się.

– Dla mnie jesteś wielką niewiadomą. Ale specjalnego zaufania nie budzisz.

– Dzięki za szczerość. A co do zła... uznajmy je za pojęcie względne. Jesteś łowcą, więc nie uznasz polującego wilka za istotę złą?

– W żadnym razie. Inaczej sądzą tylko ludzie z miast lub ciemne chłopstwo. Wilk zabija aby zdobyć pożywienie.

– A martwiak? Czy to jego wina, że nie trawi białka tylko energię życiową?

– Jednak w przeciwieństwie do wilka atakuje zawsze.

– Sądzę, że chciałeś powiedzieć to troszkę inaczej. W przeciwieństwie do wilka martwiaki atakują nas. Cóż, ostatecznie zwierzyna płowa nie włóczy się po cmentarzach, kryptach i innych miejscach bogatych w martwiaki. A my wcale nie musimy wtykać nosa w ich sprawy.

– A ci, którzy się nimi posługują?

– Czy są źli? A uważasz się za złego używając swego morderczego łuku? Potraktuj jedno i drugie jako broń. Będziesz miał pretensję do miecza, że jest ostry i możesz się nim pokaleczyć? Nie wymagamy od broni, żeby nie zabijała. Ma unicestwiać najskuteczniej, a nie można tego nie powiedzieć o martwiakach.

– Cynik!

– Nie zaprzeczę. Wiesz, jaka to wygoda?

– Zapewne, jednak nie chciałbym mieć samych podobnych dookoła.

– Nie dramatyzuj. Spójrz na naszą drużynę: wzór cnót.

– Jedno szyderstwo mniej czy więcej. Co to dla ciebie. Ale popatrz na ten kraj. Do czego dążymy? Ogarnięte ciągłą wojną Tagary, setki pomniejszych konfliktów, których nikt nawet nie zliczy. Pobił się jeden książę z grafem czy odwrotnie. Codzienna rzecz. A że padło kilka tysięcy żołnierstwa? Nic to. Dalej: nie można być pewnym życia, bo oprócz band można się natknąć na monstrum, które wedle ciebie jest po prostu głodne, a traktami nie chadza, jak mówiłeś, zwierzyna płowa. Porządku pilnuje hołota zwąca się dumnie oddziałami koczowniczymi, zdzierająca

niebotyczne sumy za eskortę, pierwsza do awantur, a ostatnia do walki. W zasadzie czego można się spodziewać po koczownikach? Skład rad miejskich stanowią awanturnicy. Oczywiście z doświadczeniem. Zdołali się nachapać złota za pomocą miecza, więc teraz zarabiają wydawaniem dekretów. Nie kwestionuję udziału kupców czy rycerstwa, wreszcie bardziej rozsądnych magów, ale zawodowi zabójcy czy złodzieje? W majestacie prawa mord i kradzież zostały zaakceptowane.

– A wszystkiemu winien Katan, nieprawdaż? Zastanawiam się, czy gdyby przy władzy była inna rasa, twoje poglądy nie były by bardziej praworządowe. Oczywiście nie wymagam odpowiedzi.

– Nie cierpię orków.

– A jakże, nie sposób nie zauważyć. Nawet na Ingrama patrzysz z ukosa. Rzecz oczywista, że elfy nie kochają się z orkami i wzajemnie. Ale ty masz do nich chyba głębszy uraz.

Alendil przymknął oczy. Uraz! Można to było i tak nazwać. Podczas wojen obracano w perzynę dziesiątki wsi i miast. Jednak łowca nigdy nie zdołał pojąć, dlaczego bez najmniejszego powodu orszak orków, jak się później okazało "złota młodzież Katanów" w eskorcie uruków, wjechał do elfiej osady Crana i dokonał masakry. Co prawda lasy opuściła mniej niż połowa "gości", Alendil miał nawet w tym skromny udział, ale ból i nienawiść wryła się głęboko w jego duszę, a obraz zwłok zgwałconej i okaleczonej siostry pozostał na stałe w pamięci. Owszem, słyszał opowieści o okrucieństwach dokonywanych przez uruków, ale inna rzecz zobaczyć to na własne oczy. Czy ten przybysz zza mórz mógł pojąć?

– Cudzoziemiec wbrew pozorom rozumiał wiele. Z dotychczasowej obserwacji jak i rozmowy domyślił się znacznej części prawdy i nie miał zamiaru rozdrapywać starych ran. Ale miał ochotę jeszcze pogawędzić z tym smarkaczem (starszym od niego najmniej 3 razy). Spodobało mu się, że chłopak zadaje pytania, których innym postawić się nawet nie chciało. Może warto podnieść go trochę na duchu.

– Wbrew pozorom władza Katana nie sięga tak daleko, ani nawet nie jest wszechpotężna, choć na pierwszy rzut oka może się tak wydawać – zaczerpnął powietrza słysząc powątpiewające mruknięcie i ciągnął dalej.

– Zapewne rządzący nie zorientowali się jeszcze, że połknęli za dużo. Każdy żołądek można napychać do pewnego momentu.

– Jednak kontrolują cały świat.

– Znany nam świat, chciałeś powiedzieć. To po pierwsze. Szlachetny By–Rygyn któryś tam, święcie wierzy w swoje imperium i pewnie znajdzie się nawet gromada głupców wierząca w jego rzekomą boskość, ale lepiej zorientowanym z jego otoczenia coś świta, że nie wszystko jest tak, jak piszą w raportach namiestnicy z dalekich prowincji. Tym ostatnim wydaje się, że wiedzą dużo, wszak są na miejscu wydarzeń, nie jak ćwoki ze stolicy. Ale całą prawdę znają nieliczni i wcale nie są skłonni do trąbienia o tym na wszystkie strony.

– Masz na myśli Wschodni Archipelag? Orki opanowały go częściowo 3 tysiące lat temu – wtrącił się elf, chcący pochwalić się swoją wiedzą. – A tysiąc lat później przybył tam książę Yalla Orto i dokończył podboju, pokonując buntowników z Kiszmetu.

Selvita roześmiał się na te słowa.

– Tak się mówi – oficjalnie. Masz przed sobą spadkobiercę tych buntowników. Możesz mi wierzyć, w Kiszmecie nie widuje się orków poza niewolnikami i paroma ambasadorami, którzy pobierają jedno wynagrodzenie od Katana, a drugie od nas. Ten książę... opiewany w sagach jako bohater, był w rzeczywistości mało popularny na dworze w Ostrogarze i dlatego opuścił rodzinne strony, a że miał zwolenników, i to głównie wśród ludzi i nawet twoich rodaków, nie udał się na wygnanie sam. To była prawie wędrówka ludów. Gdy dotarli do celu sytuacja wyglądała następująco. Połowa wyspy znajdowała się pod protektorem orków, potomków zwycięzców z

Wielkiego Przejęcia, jak nazywają wydarcie reptillionom pierwszego miejsca w we władaniu światem. Mieli również pod sobą takidończyków – żółtych ludzi, mocno zresztą poszczerbionych w walkach przeciw nam. Przybycie tego fircyka Yalla wprowadziło orki początkowo w zakłopotanie. Bali się konkurencji, tym bardziej, że rasa takido poparła przybyszów. Ale potem doszli do wniosku, że mogą poszczuć ludzi na ludzi. Nas przyprowadzą o ból głowy, książę nie będzie myślał o niczym, prócz wojaczki, a żółci poddani wyładują niezadowolenie na odwiecznych wrogach. I rzeczywiście, przez parę lat różnieliśmy się aż miło. Nawiasem mówiąc elfy bardzo nam dokuczyły na bagnach i lasach Kotliny. Kto wie, czy nie uratowaliście wówczas panowania orków w tamtym rejonie. Zakrawa na ironię, nieprawdaż? Dość, że ostatecznie znalazło się paru rozsądnych po obu stronach i dogadali się. Kotlina Glean Ann miała przypaść nowym osadnikom, nie licząc żyjących tam orków i takido, elfy dostały Zatokę Pereł i otaczające ją lasy, część orków utworzyła osobne księstwo – Orkokane, a i Takido dostali skrawek. Zachodnia część wyspy została przy nas. Na podobny układ orki kręciły łbami, parę razy, bezskutecznie, próbowały dogryźć nam same, wreszcie dały spokój. Zresztą klimat im przestał służyć, na porządku dziennym stały się epidemie, chyba nie zawsze wybuchające z przyczyn naturalnych. Przez dwa tysiące lat zdegenerowali się tak straszliwie, że tylko im się wydaje, że są u szczytu. Żyją jak bogowie. Mieszkańcy Orkus Tan mogliby im pozazdrościć. A my, jak przystało na dobrych sąsiadów, nie żalowali im darów, zwłaszcza materiału na żony i nałożnice. Długo by szukać w Glean Ann orka czystej krwi. Zarówno wśród elity władzy jak i radach miejskich. W armii służą ludzie i nawet w korpusie oficerskim nie uświadczysz uruka.

– Frymarczyliście własną krwią. Masz się czym chwalić.

– Dla dobra sprawy. Nic nie ma za darmo. Ostatecznie w obrębie Kiszmetu zachowaliśmy czystość rasy, orki nie. Jeśli dynastia Katanów odejdzie w zapomnienie, to prędzej dzięki fraternizacji z ludźmi, niż waleczności jakiejś armii. Nawet elfiej.

– Pozostaw kpiny Ingramowi. W przeciwieństwie do was, czy orków, nie pragniemy władzy ani podbojów.

– Skądże znowu. Jesteście święci.

– Mylisz się. Chcemy, żeby zostawiono nas w spokoju. Uszanujcie nasze zwyczaje i styl bycia.

– Na tym właśnie polega problem z wami – elfami. Nie to, że nie możecie, ale że wam się nie chce. Ale pretensje macie do wszystkich. Orki was biją, ludzie gonią i psują czystość rasy, wygląd reptillionów kłóci się z pojęciem estetyki, krasnoludy i gnomy są kurduplowate, a o innych lepiej nie wspominać. Z takimi poglądami daleko nie zajedziecie. Jesteście przegrani, podobnie jak reptillioni, tylko jeszcze tego sobie nie uświadomiliście.

– Jeśli nawet masz rację, to i tak jest za późno na odkręcenie historii. A wówczas niech nas zapamiętają takich, jacy byliśmy przez millenia.

Selvita pokręcił głową.

– Nieodrodny syn swojej rasy.

– A ty kim jesteś, że pozwalasz sobie na lekceważenie wszystkiego i wszystkich?

– Znowu wielkie słowa. Chyba nie chcesz mnie wyzwać? Na sekundanta polecam ci Cana.

Can! Alendil pierwszy raz usłyszał, że ktoś nazwał rycerza imieniem, które tak naprawdę nie było jego. Jakby określenie "paladyn" było o wiele wygodniejsze. Chociaż i do niego ten ostatni częściej zwracał się per : "łowco" lub "łuczniku". Paladyn, po raz pierwszy się przedstawiając, wyjaśnił, że złożył śluby, które uniemożliwiają mu wyjawienie prawdziwego nazwiska. Selvita również nie był skory do zdemaskowania swojego. "*Możecie nazywać mnie Selv*" – powiedział przy powitaniu, jakby skrót nazwy ludu, z którego się wywodził, zupełnie mu wystarczał. Z kolei druid nie ograniczył się nawet do tego. Wyglądało na to, że połowa drużyny hołduje staremu

przesądowi o rzekomej mocy, drzemącej w prawdziwym imieniu. Ale dla Alendila, nie miało to teraz znaczenia.

– Pytasz, kim jestem? Po trosze wszystkim. Skoro płynę z wami, możesz zaliczyć mnie w poczet awanturników. Ale muszę ci powiedzieć, że w Kiszmecie tym pojęciem określamy pospolitą chałastę, mającą w sobie tyle romantyzmu, co szczodrości król krasnoludów. Chcący przeżyć przygodę zaciągają się do floty, która jest bardzo rozbudowana lub oddziałów pogranicznych. Tam mają szansę spotkania jakiegoś monstrum, ma się rozumieć ewidentnie złego. Bo na większości naszych terenów wszelkie plugastwo dawno wytepiłszy, ale cicho sza, żeby druid nie usłyszał, bo krew go zaleje. Rzecz jasna w Glean Ann, czy na Ziemiach Spustoszonych potwory mają się dobrze. Awanturnicy wybierają takie co bardziej inteligentne, a przynajmniej łase na błyskotki. W końcu niejedne smoki gromadzą, że tak powiem, dobra doczesne. Nieważne. Dość, że u nas jest spokojnie, nawet za spokojnie. Tak się głupio złożyło, że nie należałem do tych spokojnych. Coś gnało mnie wciąż przed siebie, poznawać nowe i nowe.

– Łaknienie wiedzy?

– To też, ale nie widziałem siebie spędzającego życie w wieży czarodzieja. Ha, narzekasz na Katana, ale spróbowałbyś przeciwstawić się prawu w Kiszmecie. Paru moich bliskich próbowało i zapłaciło wysoką cenę. Nie, nie spalono ich ani nie ścięto. U nas nic się nie marnuje. Zostali tylko niewolnikami. Tylko! Odetchnąłem głęboko po przekroczeniu gór. Ale nie odczuwam jakiejś nienawiści do moich władców. Nie potępiam tych, których wyklną w świątyni kapłani, a wszyscy paladyni z radością wysłali by w nicość. Dla mnie nie liczy się specjalnie co robisz, ale czy robisz i jak robisz. Spójrz na wieśniaków, których nie obchodzi nic, poza zagrodą, morgiem ziemi i pobliską karczmą. Przekupień drży o swój lichy kram, a rybak o łódź. Oni wegetują jak rośliny i rzadko który potrafi rzucić wyzwanie życiu. W moich oczach zasługują jedynie na litość. Ci zaś, co mieli szansę, lecz jej nie wykorzystali (spójrz tylko na kwiat arystokracji, szlachty czy mieszczaństwa) – na pogardę. Zadowolony? Nie? Prześpij się z tym i bądź szczęśliwy żeś elf, a nie ork.

Jeśli paladyn myślał, że Alendil jest już stracony dla grupy, jako siejący defetyzm, a kto wie, czy nie przyszłe zarzewie buntu, to pomylił się jak nigdy w życiu. Elf nie wracał już więcej do feralnego tematu. Za to coraz częściej molestował dowódcę pytaniami o jego dawne przygody, walki czy szczegóły obyczaju rycerskiego. Can odpowiadał jak umiał, wszak dar wymowy posiadał na nieprzeciętnym poziomie. Oczywiście pominął kilka istotnych wydarzeń ze swego życiorysu. W końcu kogo może interesować, że dwa lata spędził w cechu katów. Nie każdy uzna to za powód do chwały.

Drugą osobą, z którą, jak zauważył paladyn, młody elf nawiązał prawie serdeczne stosunki, był Selvita. Jeszcze wczoraj obaj traktowali się jak powietrze. Dziś gwarzyli niby para starych przyjaciół. Nie mniej zdziwiony był Ingram (ha, każdy wie, że elfy są wredne i mruki okrutne), i żeby nie być gorszy, przyłączał się do dialogów i nawet z wymiernym powodzeniem wciągał doń reptillionkę.

Dalsza konsolidacja drużyna miała nastąpić na stałym lądzie i w innych warunkach.

Rozdział IV

Wyspa Tarh

– Kompletne pustkowienie. Kapłani z tej świątyni musieli chyba zapewniać transport wiernych, bo miejscowych pewnie nie było – Ingram od chwili zejścia na ląd nie przestawał ani na chwilę gadać

i rozglądać się dookoła.

Szli płytkim jarem, z wijącym się pod nogami strumieniem. Niewysokie zbocza porastały krzewy – na tyle rzadkie, by przepuszczać nie małą część słonecznych promieni.

Od samego wybrzeża otoczenie nudziło swoją jednostajnością. Łagodne wzgórza, niewysokie skały, rozrzucone tu i ówdzie zagajniki. No i brak śladu życia istot rozumnych. Nie widzieli nawet zwierząt za wyjątkiem kilku ptaków i plagi natrętnych komarów. Paladyn sugerował nawet, że jest to być może wpływ emanacji zła ze świątyni i chociaż nie zabrzmiało to choć trochę złowieszczo, wszyscy niemal z zadowoleniem zareagowali na pierwszy kontakt z większym mieszkańcem wyspy, co jednoznacznie podważało teorię Cana.

Jar skończył się i wyszli na coś, co niegdyś było traktem. Pod nogami mieli resztki bruku, ledwie widoczne od chwastów. Zielsko okazało się na tyle wysokie, że z powodzeniem zasłaniało leżącą wśród niego panterę. Teraz zwierzę wstało i cicho mrucząc spojrzało na intruzów, którzy zakłócili jej sję.

– Czarna! – zauważył Ingram. – Czy nie uważasz – zwrócił się do paladyna z doskonale udawaną śmiertelną powagą – że ten kot może być ovladnięty przez zło?

Rycerz odruchowo położył dłoń na mieczu.

– Kto wie?

– Bzdury! – wtrącił się Alendil. – Chyba nie macie zamiaru jej zaszlachtować? Podejdźmy jeszcze parę kroków, a ucieknie. Nie zaatakuje niesprowowowana. Chyba, że w trawie za nią ukryte są młode.

– To nie czas wychowu potomstwa – rzucił druid, drugi "znawca" fauny i flory.

Zachęcony tymi słowami półork, buńczucznie wysunął się do przodu i klasnął w ręce a potem krzyknął. Bez rezultatu. A raczej wprost przeciwnie. Zwierzę przywarowało, jego ogon zaczął uderzać o ziemię, a mruczenie przeszło w krótkie stęknienie.

Ja wiem, że dzikie koty boją się ludzi, ale jestem człowiekiem w polowie, więc może ktoś inny przepłoszy to z drogi – powiedział Ingram i cofnął się.

Paladyna nie trzeba było zachęcać. Refleks słońca zabłysnął na obnażonej klindze, ale nim Can zdołał uczynić krok, druid położył mu rękę na ramieniu.

– To należy do mnie.

Bezszelestnym, ostrożnym krokiem, zaczął się zbliżać do zwierzęcia. Ręce wysunął do przodu jakby chciał zasłonić się przed ewentualnym atakiem.

– Niepotrzebnie ryzykuje – powiedział rycerz, nie chowając miecza – Mogliśmy ruszyć wszyscy razem.

– Będzie próbował ją oblaskawić – wyjaśnił Alendil. – W zasadzie sam mógłbym spróbować... – jakby przecząc własnym słowom, wyjął z kołczanu strzałę i założył na cięciwę, odchodząc jednocześnie kilka kroków w bok, aby druid nie znalazł się w razie czego na linii strzału. Kątem oka zobaczył, że reptillionka robi to samo na drugiej flance, naciągając cięciwę kuszy dwoma palcami i z taką swobodą, jakby była to zabawka dziecka. Elf przyznał się w duchu, że sam musiałby do tego celu użyć przynajmniej "koziej nóżki", jeśli nie windy.

Oceniał, że będzie w stanie trafić zwierzę podczas skoku i przypuszczał, że Aisha jako zabójczyni, również dokona tej sztuki. W momencie zakończenia susu, kot powinien być martwy, lub na tyle ranny, by nie wyrządzić większej krzywdy druidowi.

– W razie co, sprawimy mu piękny pogrzeb – powiedział Ingram. – Na łonie natury. Pierwsza ofiara, która oddała życie w wielkiej sprawie.

– Nie kpij, czarodzieju – odparł Can. – Zużyj raczej siły na jakiś czar ochronny dla naszego przyjaciela, zastępującego cię w misji, do której serce straciłeś.

– A czy ja jestem treserem bydła? Pomyśl sobie: czarodziej i druid. Kto bardziej cenny?

– Ten, kto mniej gada – odparował paladyn.

– Ja niby gadam?

– Przestańcie się kłócić – wtrącił się Selvita. – Chyba już po wszystkim.

Obaj antagoniści zajęci sobą, przestali na chwilę obserwować bieg wydarzeń. Okazało się że druid przydał się jednak na coś.

Co prawda pantera nie dała mu się pogłaskać, ale teraz wolno odchodziła.

– I co powiesz, magiku? Nawet "zielarz" czasem praktyczniejszy się okazuje, niżli czary.

– A jakże – półork zmrużył oczy. – Mam nawet dla niego nowe zadanie. Niech idzie pierwszy i obłaskawia komary. Dzięki temu nie stracimy nawet kropli krwi.

18 wojowników uzbrojonych w maczugi, topory, a nawet kilka espadonów; stado złożone z opasów, koni i jednego pegaza z wyrwanymi lotkami – oto był cały majątek grupy Noriego. Do tego dochodziła gromada dzieci, kobiet i nielicznych starców.

Jeszcze zeszłego lata liczyli 3 razy tyle głów i blisko pół tysiąca sztuk bydła. Stanowili siłę, którą szanował i Rogge i wataha Jednookiego Bastara. Nawet koczownicze oddziały dawały im spokój, gdy każdej wiosny ruszali na północne pastwiska. Ale nadszedł ten feralny dzień, w którym ten głupiec Yorgi (oby nigdy się nie narodził) wszczął burdę z patrolem uruków. I był tym głupszy, że zabiwszy dwu żołnierzy, czwartego – dziesiętnika, z lekka tylko poturbowanego, wypuścił wolno. Na rezultat nie trzeba było długo czekać. Regularnej kohorcie nie byli w stanie dotrzymać pola dłużej, niż wystarczy na wypicie kwarty piwa. Niech Pianowi będą dzięki, że tamtym nie chciało się ścigać niedobitków. Ale wieści rozchodzą się szybko. Dowiedział się o nieszczęściu Gros, spiknął się z Bastarem. Nie minęło kilka dni i już mieli na karku dawnych przyjaciół. Oderwawszy się od pościgu rada starszych (niewielu ich zostało) zdecydowała opuścić Orkus Wielki. Za złoto, które przypadło im po karawanie kupców z Get-warr-garu, opłacili przejazd na nowy ląd. Ziemia nie była tu urodzajna, ale nie zamieszкана i mogli w spokoju lizać rany. Chyba tylko Nori zastanawiał się, co będzie dalej. Nikt z nich nie był żeglarzem ani skutnikiem i jeśli nie trafi tu żaden statek. Na szczęście była to daleka przyszłość. Niech wszyscy nabiorą sił, a potem się zobaczy.

Okazało się, że "potem" nastąpiło tego samego dnia, w którym Nori tak energicznie pracował szarymi komórkami, a objawiło się siedmioma postaciami, które z całą pewnością nie były półolbrzymami, a więc nie mogły należeć do plemienia. Przeklęci obcy, którzy wtargnęli na świętą ziemię ojców. No, powiedzmy, że na ziemię, która dopiero stanie się święta za parę stuleci. Jeśli intruzi nie stanowili awangardy większego oddziału, będzie można wypróbować, czy drzewce maczug nie nadzarły korniki.

Callo – lider grupy myślał zapewne o tym samym, bowiem poklepując trzon bojowego młota zawieszonego u pasa, zbliżył się do Noriego i zapytał:

– Zabijemy ich od razu czy poigramy?

– Poigramy. Coś się nam należy od życia.

– Wezmę więc na siebie tego orka – odparł Callo, gdy przybysze znaleźli się w odległości kilkunastu metrów. – Ma wredną gębę i oddam ci na tę noc moją Głanę, jeśli w tej chwili nie nabija się ze mnie.

– Jest twój, ale pierwszej musimy unieszkodliwić reptilliońską samicę. Jaszczury są mocne.

– To od razu i tego wojownika, nim wyjmie miecz. Pozostali wydają się niegroźni.

Jakby przeczuwając zamiary barbarzyńców, przybysze zbili się w gromadę.

– Boją się – pomyślał Nori z satysfakcją. Wsadził kciuki za skórany pas i wolnym, niedbałym krokiem ruszył na spotkanie. Obok jak cień sunął Callo. Reszta plemienia, prócz kilkorga dzieci nie okazała zainteresowania. Zaledwie parę kobiet spojrzało na obcych i ponownie wróciły do obozowych zajęć. Mężczyźni siedzieli przed jurtami leniwie gwarząc i opędzając się od much. I tylko chyba dziwnym trafem każdy miał broń w zasięgu ręki.

Nawiązanie dialogu wyszło ze strony przybyszów. Zwarty szereg opuścił rycerz, podszedł kilka kroków i uniósł dłoń w powitalnym geście.

– Jestem tan Can wraz z towarzyszami – zaczął. – Przybyliśmy tu z pokojowymi zamiarami. Mamy nadzieję, że zgodnie ze zwyczajem uczciwych ludzi, a miłym bogom...

Nori zwracał uwagę na co drugie słowo. Tak mówili wszyscy paniczykowie z miast, jeśli nie występowali z pozycji siły. Uprzejmość i gładkość słów z ledwo wyczuwalną pogardą dla każdego niższego stanu.

– ... i ograniczymy się tylko do pomieszczeń świątyni.

– Jakiej świątyni?

– Świątyni Dorianny, oczywiście.

– Tu nie ma żadnej świątyni.

– A to? – rycerz utkwiał wzrok za plecami przywódcy. Ten obrócił się i dopiero teraz zrozumiał, o czym była mowa. Stare ruiny wykorzystywano gdy była kiepska pogoda i o ile przebywali w tym, a nie innym rejonie wyspy.

– Świątynią było to kiedyś. Obiecujemy, że nie ruszymy niczego, co należy do was.

Nori skrzywił się. Bezcelność tego człowieka przechodziła wszelkie granice. Za chwilę poprosi pewnie o pozwolenie zamieszkania w ruinach na dłużej, pomoc w odbudowie gmaszyska, wreszcie któregoś dnia oznajmi, że wyspa należy do niego.

– Nic nie znajdziecie w tych gruzach – odparł, zastanawiając się, dlaczego nie dał jeszcze sygnału do ataku.

– A może po prostu wiemy, gdzie szukać? O ile mi wiadomo głęboko w lochach jest szansa na łup w żółtym kolorze – odezwał się drugi z ludzi.

Złoto! W świątyni było złoto. Ale przecież on sam przetrząsnął te kilka pomieszczeń i nic. Powiedział o tym głośno.

– Skarby są ukryte w tajemnym miejscu i chronione magią. Udostępnijcie nam bezpieczne dojście, a dostaniecie połowę łupu.

– Połowę? – szepnął oburzonym głosem Ingram do Alendila. – Ta hołota powinna nam paść do nóg z podziękowaniem, że w ogóle ich odwiedziliśmy.

Na szczęście dla półorka żaden z barbarzyńców tego nie usłyszał. Ale i Noriemu nie podobał się podział.

– Trzecia część dla was – zaproponował. Riposta paladyna była błyskawiczna.

– A to, że zniszczymy na waszej ziemi źródło złych mocy, nie wpłynie na zmieni twoich poglądów, przyjacielu?

– Właśnie! – dodał Ingram. – Jeśli nie pokonamy zła wasze opasy będą dawać skisłe mleko, a

kobiety nie zadowolą mężczyzn, co odbije się na waszej sile. O innych, mniej groźnych plagach nawet nie wspomnę.

Nori wzdrygnął się. Magia należała do tych rzeczy, z którymi nie chciał mieć nic wspólnego. W przeciwieństwie do złota. To zaważyło.

– A skąd mam mieć pewność, że dotrzymacie słowa i nie uciekniecie ze skarbem?

– A niby jak mielibyśmy uciec, skoro władacie wyspą? – drobne pochlebstwo w negocjacjach nie zaszkodzi. – Zresztą mogę ci to zaprzysiąc na cześć rycerską – zaproponował paladyn. – To znaczy więcej niż spisana umowa.

Po minie barbarzyńcy można było wywnioskować, że ma inne zdanie w tej kwestii.

– A jeśli wyślesz z nami paru swoich ludzi... – rzucił pomysł Selvita – zadowolimy się trzecią częścią złota i ewentualnymi przedmiotami magicznymi i księgami. Co o tym sądzisz, wodzu?

– Jeden głos przeciw! – odezwał się teatralnym szeptem Ingram. – Krzywda nam się dzieje, każdy to widzi. Aisha i elfy są po mojej stronie (Alendil, czego mnie trącasz, idioto). Paladynie, rada drużyny zdecydowała, że masz nie schodzić poniżej połowy. Słyszysz?

Ingram zrezygnowanym spojrzeniem obrzucał Cana, który uściskiem dłoni z barbarzyńcą przypieczętował umowę.

Wnętrze świątyni, a przynajmniej pomieszczenia, do których istniał dostęp, okazały się kompletnie zrujnowane. Z powały sypał się tynk, podłoga była porozrywana w wielu miejscach, zwały gruzu wały się po kątach i niesamowicie śmierdziały resztki ogniska, do którego rozniecenia użyto wyschłego łajna opasów.

Nori wrzaskiem i kopniakami oczyścił sale z kilku kobiet, grzebiących w jukach oraz zakochanej parki, która wzgardziła urokami łona natury.

– Callo zostanie z wami – oświadczył przywódca hordy. – Jest silny i odważny, więc może i pomóc. Pewnikiem upomni się o nagrodę – Nori wychodząc odwrócił się raz jeszcze: – Dobrze by było, byście nie wrócili z pustymi rękami.

– Zaczynamy – powiedział paladyn gdy kroki barbarzyńcy ucichły.

– Dobrze, ale co? – spytał Ingram. – Co konkretnie mamy szukać? Ukrytych przejść, otwieranych za pomocą równie ukrytych dźwigni, zapadni, pułapek, czy też tej kupy złota, które ma na nas czekać?

– Dokładnie tego – odparł Can, ale i do jego duszy zakradły się wątpliwości. – Przyjacielu – zwrócił się do Selvity – masz jakieś wskazówki?

– Niestety nie. Informacje, które zdobyłem, ograniczają się jedynie do lokalizacji świątyni. Wydaje mi się, że nasz czarodziej, mimo że mówił z drwiną, miał jednak rację. Szukajmy czegokolwiek, co wyda nam się dziwne, inne od normalności, zaszokuje.

– To dobry sposób na spędzenie reszty życia – Ingram podszedł do ściany i przesunął dłonią po płaskorzeźbie. Załamania rytów wypełnione były zbitym kurzem. W niektórych miejscach nie można było wyczuć nawet wypukłości. Dopiero po uważniejszym przyjrzeniu się spod warstwy brudu wyłaniały się miniaturowe sylwetki. Półludzie-półzwierzęta. Czasami był to człowiek z głową byka lub psa, innym razem miał szponiaste łapy, albo odwrotnie, odrażającą bestię nieznany rzeźbiarz wyposażył w jakąś część anatomiczną elfa czy gнома.

– Nie widać w nich życia – powiedział do siebie półork.

– Bo nigdy nie żyły – usłyszał za sobą. Selvita również przypatrywał się ścianie. – Kapłani

Dorianny znani byli jako doskonali rzeźbiarze, a największe sukcesy odnosili w tworzeniu posągów. Wiele z nich można jeszcze spotkać po co zamożniejszych zamkach. Plotka głosi, że potrafili w swych dziełach zakląć duszę.

– To całkiem możliwe. Mój mistrz potrafił przenieść ducha żaby w kamień. Zwykły brukowiec skakał i rechotał aż miło.

– Masz więc i ty teraz pole do popisu. Utoruj nam drogę, a przy podziale łupów nie zapomnę o tobie.

– Wielkie dzięki – warknął Ingram i ruszył w ślady pozostałych.

Drużyna niemrawo rozpełzła się po pomieszczeniach. Było ich cztery. Największe, w którym koczowały półolbrzymy, okazało się puste. Jedno z mniejszych zawierało kominek – całkowicie zasypany gruzem. Przyciągnął on zainteresowanie Alendila. W drugiej komnacie w puszczonej w podłogę, stał kamienny stół, który równie dobrze mógł pełnić funkcję ołtarza. Trzecie zapewne wykorzystywano jako magazyn lub skład. Wzdłuż ścian stały przerdzewiałe, metalowe półki. Oprócz korozji nosiły ślady toporów barbarzyńców. Żadna nie ostała się w pełni cała przed mocnymi uderzeniami.

Przez kolejną godzinę awanturnicy błakali się bezowocnie z jednej komnaty do drugiej. Ingram, który w swej bujnej młodości fedrował 2 lata w kopalniach Tagary, doradzał, żeby przekopać chodnik z pomocą tubylców i dokonać parę próbnych odwiertów w różnych kierunkach, ale nikt nie wziął tego poważnie.

Również niekonwencjonalne metody nie odniosły skutku.

– Nigdzie nie odkryłem zachwiania równowagi – oświadczył paladyn, opierając się całym ciężarem o stół, na którym beztrząsco przysiadł cudzoziemiec. Wyglądało na to, że Selvita nie miał zamiaru ruszyć palcem i dopomóc w poszukiwaniach.

– Ja również – dodał czarodziej, ukazując się w drzwiach. – Zero magii.

– Może szukamy w złym miejscu. Pamiętacie zawalisko w głównej sali? Najprawdopodobniej prowadzi do dalszych partii świątyni, a my szukamy dziury w całym. Mówię wam, weźmy tę olbrzymią hołotę, wyznaczmy stawkę za godzinę i raz dwa odsypimy gruz.

– A ja bym radził wyjść na zewnątrz. Może bardziej dogodna droga znajdzie się po stronie przeciwnej.

– Zbędna fatyga – druid, a za nim Alendil pojawili się w wejściu. Ich ubrania pochłapane były wodą.

– Coś robi się tutaj tłoczno – zauważył Ingram.

Elfy nie zareagowały na zaczepkę.

– Reptillionka znalazła wejście.

– Gdzie?

– Za tymi szafami, do których próbowali się dostać nasi przerośnięci przyjaciele.

– No to pewnie prowadzi do spiżarni.

– Nic prostszego, jak sprawdzić – Selvita zeskoczył ze stołu. – Nie zapomnijmy o zapasie łuczyw. Nie wszyscy jesteście elfami.

Ciemny, wąski otwór wyglądał nie naturalnie. W świetle pochodni trzymanej przez Cana, lekko świeciła mokra powierzchnia schodząca ostro w dół.

– Aisha wypatrzyła szparę, według niej cokolwiek podejrzaną. Wleliśmy tam wody, a ta zniknęła. Ponieważ wyparować nie mogła, zwróciliśmy się do Callo o pomoc, a ten załatwił resztę – wyjaśnił druid.

– Wejście nie jest najwygodniejsze – Alendil wsadził w otwór prawie całą głowę – Ktoś normalny wybudowałby schody. Możemy się sturlać lub zjechać.

– Mówiłem, że to droga do spiżarni, a raczej do składu win. Dajcie mi popatrzeć – czarodziej prawie na siłę odepchnął elfa i zajął jego miejsce. Ale korytarz, czy raczej szyb ginał w ciemnościach. – Ktoś musi tam wejść pierwszy.

Wśród zebranych nie było odzewu. Wreszcie Selvita chwycił czarodzieja za pas i wyciągnął z dziury, po czym podsunął mu pod nos zwój liny.

– Nikt nie każe ci dawać tam nurka. Póki nie nauczysz się lewitować, użyj tego. Callo będzie cię ubezpieczał.

Ingram wykonał kilka nieskoordynowanych ruchów, jakby przygotowywał się do odparcia uroku.

– Tylko nie on. Założę się, że w pewnej chwili oznajmi, że lina mu się wymknęła, a ze mnie niewiele zostanie.

Zastąpić barbarzyńcę zgodziła się reptillionka. Półork już bardziej ochoczo stanął u krawędzi otworu, wymamrotał kilkanaście słów, mogących równie dobrze być modlitwą, zaklęciem czy wiązką przekleństw, wziął w zęby z niełatwym trudem pochodnię, poprawił przytroczoną do pasa maczetę i powoli zaczął się opuszczać.

Wszystkim pozostałym na górze wydawało się, że upłynęły godziny, nim lina drgnęła 3 razy. Callo pierwszy zdecydował się iść w ślady półorka. Rzucił się w ciemność z takim impetem, że reptillionka trzymająca linę przeszorowała parę łokci po podłodze i tylko dzięki pomocy paladyna nie runęła za barbarzyńcą. Pozostali schodzili z większą ostrożnością. Na górze pozostał Kurc – służący Selvity. Miał ubezpieczać odwrót. Biorąc pod uwagę jego zdolności w robieniu espadonem, był to niezgorszy odwód.

Po zjechaniu na dół zastali czarodzieja siedzącego pod ścianą. Ingram przytrzymał drzewce pochodni stopami i w tym nie najlepszym oświetleniu poprawiał coś przy rzemieniu na którym kołysał się talizman.

– Gdzie barbarzyńca? – spytał Can. Przybył ostatni i odruchowo sprawdził obecność swoich podwładnych.

– Wolał nie przebywać sam w moim towarzystwie i ruszył na ochotnika na zwiady – wyjaśnił Ingram. Paladyn skinął głową, jakby akceptując absurdalną uwagę. Teraz z mógł rozejrzał się dookoła.

Nie był to z pewnością skład win ani spiżarnia, lecz koniec, a może początek korytarzyka, ostro skręcającego przed nimi w prawo. Jego ściany zbudowano z prostej, czerwonej cegły – teraz poszarzałej od kurzu. Ci, którzy przed wiekami przystąpili do pracy, nie wykonali jej zbyt starannie. Nadmierna ilość zaprawy wyciekła między spoinami, tworząc brzydkie nacieki kończące drogę na podłodze. Nikt nie próbował ich nawet usuwać. Powietrze było wilgotne i zatęchłe.

– Ruszajmy! – zakomenderował paladyn, ale ledwie uczynił krok, zza zakrętu wyłonił się galopujący barbarzyńca.

– Zastanawiające – odezwał się półork – czy ten waleczny mąż rejterował przed myszami, czy też o zgrozo, zobaczył szczura.

– Ostrze ironii przebiło się przez niewprawne w logicznej szermierce zwoje mózgu Calla.

– Nie uciekałem – oświadczył z powagą. – Czyż wojownik okazuje nieroztropność nie

przystępując do walki, jeśli pracy jest dla wielu? Na mój rozum w sali za zakrętem jeden topór to za mało.

Barbarzyńca z miejsca stał się obiektem zainteresowania. Każdy zadawał pytania i każdy chciał o trzymać pierwszy odpowiedź.

– Nieludzka ręka stworzyła dziwo, które tam spotkałem – powiedział Callo, gdy gwar trochę przycichł. – Jeden Set rodzi takie poczwary.

– Jak wygląda?

– Duży?

Callo powiódł wzrokiem po zebranych.

– Po prawdzie, tom mu się dokładnie przyjrzyć nie zdołał. Ale łap to ma z tuzin, każda w pazury i miecz zbrojna. A wysokie to na chłopa i ogoniaste.

Więcej nie zdołali wydobyć od zwiadowcy. Ten dodał po chwili, że bestię zastał nieruchomą, jakby szykującą się do ataku.

– Panowie rycerstwo – powiedział paladyn dostojnym głosem, jednocześnie sprawdzając, czy popręg od napierśnika się nie obluźował – czeka nas pierwsza wspólna walka. Tym znamienitsza, iż dano nam szansę zmierzyć się, a mam nadzieję że i unicestwić poczwarę rodem z najgłębszych kręgów piekieł. Ale nie straszne nam moce ciemności. Tylko słuszną...

– Co on gędzi? – rzucił uwagę Ingram. – Ze strachu przed rąbaniną na mózg mu padło?

– Ja mam wrażenie, że on po prostu zagrzewa nas do walki – odpowiedział Alendil.

– I co, czujesz się przez to odważniejszy?

– Nie. A ty?

– A w czary bez zaklęć to ty wierzysz?

– Może to objawi się w obecności potwora.

– Aha, chciałbym to zobaczyć.

– ... Asteriusz jest z nami. Naprzód! – paladyn zakończył tymczasem mowę i z obnażonym mieczem i tarczą w garści, pocwałował przed siebie. Callo deptał mu po piętach, a za nimi ruszyła nieco mniej ochoczo reszta.

Gdy dotarli do drzwi, paladyn zatrzymał się, popatrzył do tyłu, jakby oczekiwał aprobaty, wreszcie otworzył wrota. Nie wszyscy byli w stanie zmieścić się razem w przejściu, ale ci, którym się to udało, zobaczyli w blasku pochodni opisaną przez barbarzyńcę bestię.

Relacja okazała się nieprecyzyjna. Stworzenie siedziało na tylnych, jakby ptasich łapach, w czterech przednich (a nie w dwunastu) trzymało miecze. Łeb przypominał głowę nietoperza z nieproporcjonalnie długimi uszami.

Przez dłuższą chwilę, kiedy to spoglądali wzajemnie na siebie, stworzenie nawet nie drgnęło.

– Posąg? – rzucił Ingram.

– Może... – paladyn wskazał mieczem – Widzicie kolejne drzwi? Są dokładnie za bestią, a siedzi ona nie na środku komnaty, lecz bardziej z tyłu, ponieważ broniąc do nich dostępu.

Rozejrzał się po kompletnie pustym pomieszczeniu i przejechał stopą po posadzce. Ślisko.

Ingram, który tymczasem zdążył kucnąć, dotknął podłogi palcem.

– To chyba szkło – niewiele myśląc, użył rękojeści maczety jako młotka. Po podłodze pomknęły linie pęknięć.

– Łowco – Can zwrócił się do Alendila – Jedna strzała w oko dla pewności...

Jeszcze nie zdążył skończyć, gdy jęknęła cięciwa i stalowy grot zachrobotał o oczodół monumentu.

– Jeśli właściciele tej świątyni mieli jeszcze jakieś wątpliwości co do naszych intencji, to właśnie się ich wyzbyli – zauważył Ingram.

Tym lepiej – odparł rycerz. – Możemy więc walczyć z odkrytą przyłbicą – to mówiąc przestąpił próg.

– Pole magiczne – Ingram prawie krzyknął. – Nagła aktywizacja i stale rośnie.

Paladyn zatrzymał się wpół kroku i bystro spojrzął na czarodzieja.

– Zachwianie równowagi? – spytał, jakby nie ufając własnemu zmysłowi.

– Nie wyczuwam.

– Ja też nie. Możesz określić źródło magii?

– W pewnym stopniu z podłogi. Co do reszty, to nawet widać.

Can, cały czas patrzący na czarodzieja, odwrócił się wolno. W zasadzie zobaczył to, czego się spodziewał. Posąg zaczął okazywać odruchy życia, a przynajmniej działania. Uzbrojone łapy poczęły się zginać i rozprostowywać, jakby zastałe mięśnie potrzebowały ruchu. Neutralny, szary kolor kamienia, stał się zielono-brązowy, w pustych oczodołach pojawiły się białka i tęczęwki, a uszy zaczęły strzyc na wszystkie strony.

– Niech Aisha i Alendil strzelają wprost z drzwi, my uderzymy nań z flank – polecił paladyn takim tonem, jakby rozkazywał całej rocie.

Barbarzyńcy nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. W grupie poczuł się rażniej i odzyskał wigor. Wymachując toporem, runął na czteroręką maskarę. Zapomniał tylko o poleceniu rycerza i zaatakował od czoła, uniemożliwiając działanie łuczników.

– W lewo! Przesuń się w lewo, ciemiego – wrzasnął Ingram, z trudem przepychając się między strzelcami. W tym samym momencie topór półolbrzyma związał się z mieczami ożywionego posągu. Przez chwilę wydawało się, że błyszczące ostrza otoczą i posiekają śmiałka. Ale nie była to pierwsza walka Calla. Chociaż nie przedarł się przez zasłonę wirującej stali, wyszedł z pierwszej rundy bez szwanku. Teraz uskoczył w bok, by zająć dogodniejszą pozycję. Pasywny dotąd stwór chybocząc się niezgrabnie z boku na bok, ruszył za nim. Aisha i Alendil tylko na to czekali. Oba pociski niemal równocześnie trafiły w cel i tym razem, co dziwniejsze, zagłębiły się w nim. Zaraz za nimi podążył kwant czystej energii, czarodziej bowiem nie chciał być gorszy, a ruszyć do boju z maczetą w garści, nie miał ochoty. Teraz i paladyn włączył się do walki.

Lśniący bok potwora stanowił idealny cel. Od tej strony tylko jedna łapa broniła dostępu, a i tak nie wykorzystywała swoich wszystkich możliwości. Rycerz z łatwością zablokował ją tarczą, robiąc drugą ręką szeroki zamach. Cios, który rozplątałby takiego mocarza jak Callo na dwoje, tu otworzył jedynie głęboką ranę – dziwną, bo bez krwawienia, nie odsłaniającą żadnych wewnętrznych organów, no i niestety, nieosłabiającą przeciwnika. Ten ostatni poruszył się nawet szybciej i przed Canem zabłysła cała czwórka ostrzy.

Pierwsze dwa cięcia paladyn przyjął na tarczę, trzecie sparował mieczem, ostatnie zahaczyło go o prawą pierś, rozrywając kilka ogniw kolczugi, lecz nie dochodząc do ciała. Z kolei sam przyciął, ale potwór z łatwością odbił cios, jednocześnie przechodząc do bardziej zdecydowanego natarcia.

Tarcza – doskonała robota gнома Anta z Ostrogaru, znamienitego płatnerza, wytrzymała nawałę uderzeń, która spadła nań w przeciągu sekund. Nie wytrzymała natomiast trzymająca ją ręka. Wojownik odsłonił się tylko na moment, ale to wystarczyło, żeby jeden z mieczy roztrzaskał mu

hełm.

Krew z rany zalała oczy, dezorientując na moment. Cofnął się jednak, pośliznął i wiedząc, że nie złapie równowagi, wypuścił tarczę, by przynajmniej jedną ręką z amortyzować upadek.

Trzask blachy i pękającego szkła zlały się w jedno. Zaraz potem dołączył znacznie głośniejszy upadek paladyna.

Trudno powiedzieć, czy bestia uznała go za unieszkodliwionego, czy też kolejna salwa strzał o morderczy cios topora, który pozbawił go jednej z łap, nie odwróciły uwagi od rannego.

– Czy on nie ma jeszcze dosyć? – Alendil wypuścił kolejną strzałę, ale ta przeleciała między uszami potwora.

– Widziałem bardziej żywotne i to zwierzęta – odparł druid. Razem z Selvita trzymali pochodnie i nie brali udziału w walce. – A to zwierzęciem nie jest.

– W rzeczy samej – odpowiedział Ingram. – Wciąż czuję przepływ magii.

– W tej chwili?

– Dobrze, że wpadłeś. **PRZECIEŻ MÓWIĘ, ŻE WCIAŻ CZUJĘ!!!** *Chroń nas Gorlamie przed tępotą przyjaciół.* Tak, wzmożona emanacja. Ciągnie od podłogi. Głowę dam, że to te szkło – Ingram znieruchomiał i tylko jego ręka wykonała dwa szybkie ruchy i na głowie posągu rozbłysła płomień magicznego ciosu.

– Podłoga! – powiedział nagle Selvita, patrząc cały czas na usiłującego powstać Cana. Potwór stracił całe zainteresowanie powalonym i przeniósł je na barbarzyńcę, który obskakiwał go ze wszystkich stron.

– Tłuczcie szkło podłogi! Nie zbliżył się do nas ani razu i zostawił paladyna w spokoju. I tam i tu nie ma nieuszkodzonej posadzki.

– Jesteś pewien? – półork miał taką minę, jakby czuł złość, że to nie on jest autorem pomysłu.

– Nie, ale co możesz zaproponować?

Nie mógł nic, więc rzucił się na kolana i z pasją rozpoczął dzieło zniszczenia. Szklana tafla protestowała, rozsiewając na wszystkie strony ostre odłamki. Jeden z nich trafił reptillionkę, ale nie przebił twardej skóry.

Pozostali poszli w ślady czarodzieja. Przez parę kolejnych minut dominującym odgłosem w sali był zgrzyt, trzask i skrzyp, czasem przekleństwo, gdy ktoś oberwał rykoszetem lub poharatał się własnym dziełem, wreszcie coraz słabsze pokrzykiwania barbarzyńcy, któremu kończył się zapal i powietrze w płucach, a jego walka była już tylko rozpaczliwą obroną. Dostrzegł jednak poczynania reszty drużyny i chcąc do nich dołączyć, zamarkował wypad, a gdy bestia skierowała się tam, gdzie według niej powinien znajdować się przeciwnik, Callo wykonał dwa susy i wylądował wśród swoich.

Miejskie istoty mają dziwne zwyczaje, Callo doskonale o tym wiedział i nie zdziwił się specjalnie zajęciu awanturników. Poinstruowany zaś przez Ingrama, przyłączył się do pozostałych, a nawet okazał zdumiewającą inwencję i cisnął topór pod stopy potwora.

Rozległ się trzask głośniejszy od innych i monstrum zatrzymało się. Praktycznie, gdzie by nie stało, walały się odłamki, a w najlepszym razie powierzchnia był popękana.

– Mamy robaczka – powiedział Ingram, lokując kolejny magiczny pocisk w pysku poczwary. Rzeczywiście, ta ostatnia uczyniła dwa niezdecydowane kroki, cofnęła się, machnęła mieczem, choć w zasięgu nie było nikogo, wreszcie usiadła niby zmęczona walką, a chwilę potem jej głowa została rozrębana ciosem paladyńskiego miecza. Can, chociaż ranny kontynuował walkę. Był to jednak najwyraźniej coup de grace, bowiem bestia znieruchomiała i po krótkim czasie przybrała poprzedni

kolor.

Callo podszedł do posągu i trącił go nogą.

– Szttywny. Ani drgnie. Rozbijmy to szkaradztwo, nim znowu ożyje – to mówiąc wcielił w czyn słowa i to z takim zapalem, że ani się obejrzał, a w ręku mu został goły trzon. Obsypał posąg przekleństwami i sięgnął po jeden z mieczy, które jeszcze nie tak dawno świstały mu nad głową.

W tym samym czasie druid opatrywał Cana. Czarnoksiężnik dotrzymywał im towarzystwa.

– Zaczynam szanować wiedzę tutejszych kapłanów – mówił. – Z drugiej strony nie mogę pojąć, po co zrobili wejście w tak dziwnym miejscu.

– Gdyby musieli uciekać – odparł paladyn, krzywiąc się jednocześnie z bólu. Ziołowe mikstury druida, których ten nie żałował, były leczące ale i piekące.

– Tym bardziej bezsensownym wydaje się ta zjeżdżalnia. Chyba, że uciekinierzy umieli lewitować.

– Ot i masz odpowiedź.

– Ale Ingram nie czuł się usatysfakcjonowany.

– Stawiając przed każdą odpowiedzią *jeśli* lub *chyba*, wytłumaczmy wszystko. Założyłbym raczej, że architekt nie był w pełni świadomy, co wyczynia jego łepetyna. Albo...

Głuchy łoskot stłumił słowa czarodzieja. To barbarzyńca dokończył dzieła. Przynajmniej tak się wszystkim wydawało.

– Rozsypał się nagle – powiedział Selvita, który stał najbliżej. – Poprzednie ciosy jakby nie robiły na nim wrażenia.

Nikt więcej nie zwracał sobie głowy posągiem. Tylko druid pomyślał, że unicestwiając strażnika, spalili za sobą mosty. Dalszą drogę mogli torować tylko mieczem i magią.

– Czy elfica może być godnym przeciwnikiem? – zastanawiał się paladyn, stojąc przed kolejnym posągiem, tym razem przedstawiającym spiczastouchą kobietę.

– Chyba tylko w łóżnicy – odparł Ingram.

Kolejna sala, którą spenetrowali, miała własne oświetlenie. Blask sączył się ze ścian o mlecznym, niby szlifowany opał zabarwieniu. Napotkany posąg nie stał na cokole. Raczej wyrastał z podłogi. Elfica prawą ręką wskazywała bliżej nieokreślony punkt na jednej ze ścian. W drugiej trzymała złocisty róg, wokół którego jak i ręki, owijał się szczerzący jadowe zęby wąż. Posąg jak i wąż wykonane zostały najprawdopodobniej z tego samego materiału co ściany, róg natomiast okazał się elementem obcym. Barbarzyńca, który pierwszy wszedł do komnaty, pierwszy dorwał się do monumentu. Nie pomogły zapewnienia Ingrama, że od posągu, a zwłaszcza od rogu magia aż bije.

– Mam amulet broniący przed wszelakimi czarami – zapewnił Callo i poklepał się po skórzanym woreczku dyndającym mu na szyi.

– Jak chcesz – Odparł czarodziej – ale zapomnij o mojej pomocy, gdy zainteresują się tobą demony.

– Popatrzcie na podłogę – zauważył Alendil. – Czy to też szkło?

Wszyscy jak jeden mąż utkwili wzrok w ziemi, a konkretnie w opalopodobnej tafli. Ta tutaj wydawała się miejscami bardziej przeźroczysta w porównaniu do ścian.

– Są pod nią pęcherzyki powietrza – powiedział Can. – Stąpamy po czymś w rodzaju

nierozpuszczającego się lodu. Oby wytrzymało nasz ciężar – wzdrygnął się bowiem w wyobraźni zobaczył, jak szklista masa pod nimi zmienia egzystencję i cała drużyna pograży się w wodzie. Miał na sobie około 40 kg stali, nieźle chroniącej przed ciosami, ale mogącej stać się metalową trumną w konfrontacji z żywiołem wody. Zresztą nie umiejąc pływać, zginałby tak czy siak. Marna perspektywa dla paladyna.

– Czekajcie, tam coś jeszcze jest – Alendil powiedział to cokolwiek głośniejszym głosem, niż było konieczne.

W miejscu, gdzie elf przykłęknął, powierzchnia była brązowoczarna. Bańki powietrza kłębiły się gęściej, niż w innych miejscach i oprócz nich dał się wyczuć obcy ruch. Ruch powolny, amebowaty, jakby leniwy, ale nieprzerwany i nie do zatrzymania.

– Wyczuwam życie – powiedział druid. Siedział na podłodze i otwartymi dłońmi dotykał powierzchni. – Oddycha.

– Na Asteriusza, co?

– To! Pod podłogą.

– Jakieś monstrum.

– Powiedzmy po prostu: istota. Coś, czego jeszcze nie widzieliśmy. Niekoniecznie zaraz potwór. Zachwianie równowagi nie występuje.

– Niedźwiedź skalny też nie jest z gruntu zły, ale nikt o zdrowych zmysłach nie wlezie do jego gawry.

– Nas jest kupa! – zawołał barbarzyńca i walnął mieczem w posadzkę. – Tłuc?

– NIE!!!

– Najlepiej po prostu opuśćmy to miejsce – zaproponował Ingram. – Nie mam wątpliwości, że cokolwiek to jest, nie dotrzyma nam pola, czy choćby i wody nawet przez pacierz, ale jeśli będziemy szlachtować każdą napotkaną bestię, druid opuści naszą zacną kompanię, a tego nie chcemy, nieprawdaż?

Nikt niczego nie znalazł niegodnego w tej propozycji i z pewnością poszli by za radą czarownika gdyby nie to, że wejście, którym się dostali zniknęło, a innego nie było.

Gdy po kwadransie prób wyważania ścian, przekleństw i modlitw do całego panteonu stan rzeczy się nie zmienił, drużyna swój gniew z nierozwiązanego problemu przeniosła na Selvitę.

Nikt was nie zmuszał. Zaproponowałem robotę i wy się zgodziliście – odpierał zarzuty tamten. – Krzykiem nic nie zwojujecie. Sądzę, że znajdziemy rozwiązania. Jesteśmy tu w stanie przetrwać dobrych kilka dni.

– A jeśli cię zabijemy, to nawet dłużej – ryknął Callo. – Krew nieboszczyków ustępuje piwu, ale gdy nie ma nic innego...

– Uspokójcie się – paladyn podniósł głos. – Zachowujecie się jak jakaś banda.

– A kim jesteśmy? – przemknęło przez myśl Alendilowi, ale nie chciał nikogo podjudzać, więc zachował uwagę dla siebie. Jego umysł poszybował do zielonych lasów, wśród których się urodził i wychował, do łąk, otwartych przestrzeni i nieba, które zawsze miał nad głową.

Zatopiony we wspomnieniach oparł się o ścianę, ale zaraz od niej odskoczył. Jego bawełniana tunika stała się mokra na plecach. Przeciągnął ręką po ścianie. Wilgotna niby w łaźni. Powietrze też zrobiło się ciężkie i duszne. I ten szum...

Początkowo prawie nie słyszalny, tłumiony krokami i krzykami. Gdy chwilami cichli, okazywał się wyraźniejszy. Nie był jednostajny. Co pewien czas się urywał, by po chwili powrócić z większym natężeniem. Wreszcie usłyszeli go i pozostali, a że nie jest to naturalny odgłos, skapował

nawet półolbrzym.

– Zbliża się – powiedział paladyn. Wodził czujnie oczami po komnacie jakby starał się odgadnąć, skąd nadejdzie atak.

Druid, pozostający od dłuższego czasu w nieruchomej pozycji, uniósł głowę. Kilku pozostałych poszło w jego ślady.

Sufit!

Sufit pokrywały otwory o średnicy nadgarstka małego dziecka. Mnóstwo otworów o postrzępionych brzegach. Gdziekolwiek byś nie stanął, znajdował się pod nimi. Z niektórych wydobywał się para bądź kapla woda.

– Wyczuwam podniecenie i radość – mówił druid, wciąż siedzący na podłodze.

– Pewnie. Drań się cieszy, bo nareszcie się obezre – odparł Ingram. Powietrze otaczające czarodzieja leciutko drgało. Niewykluczone, że ów przewidując w najbliższym czasie starcie, otoczył się jakąś magiczną osłoną. Chyba, że to omamy wzrokowe płatały patrzącemu figla.

Przeraźliwy, tym bardziej że w zamkniętym pomieszczeniu, wwiercający się w umysł po przejściu wszystkich elementów ucha dźwięk, okazał się swoistą sceną finałową w i tak nerwowej atmosferze. Kto siedział – zerwał się z podłogi (Ingram przeciwnie – szukał schronienia jak najniżej), broń sama znalazła się w rękach. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na szturm zastępów ciemności, oznajmiających swoje przybycie jakże niesamowitym głosem. Nim jednak ucichło echo ostatniego tonu, dostrzegli jego przyczynę, że złymi mocami nie mającą nic wspólnego.

Przy posągu elficy siedział Callo i opierając się o doskonale odtworzone nogi, nabierał w płuca potężny haust powietrza, by kontynuować koncert.

– Ten przerośnięty bał, nie bar... – kolejna porcja "muzyki nie pozwoliła dokończyć Ingramowi. Jak i reszta był zmuszony wysłuchać do końca.

– Co tak ślepie wytrzeszczacie? – spytał Callo, widząc otaczających go awanturników i rządę mordy, wyzierającą z ich oczu. – Przecie każdy wie, że to najlepszy sposób na przegonienie demonów. Zdałyby się jeszcze bębny i piszczałki, ale wy możecie walić płazem miecza po tarczy. Też ujdzie – to mówiąc, zadał po raz trzeci.

Zapewne barbarzyńca nie ujrzałby już swoich kobiet ani bydła, gdyby nie Alendil wydzierający się ile sił w płucach: – Wyjście, jest wyjście.

W miejscu, które wskazywał posąg, ukazał się prostokątny otwór. Również drzwi, którymi się tu dostali, zmateriałyzyowały się powtórnie. I tylko szum nie ustał.

– Wynosimy się stąd.

Ponieważ nikt nie miał zamiaru pozostać, ruszyli ku nowemu wyjściu, przepychając się wzajemnie, byle prędzej opuścić niegościnne miejsce.

W korytarzu, który stanął przed nimi otworem ukazała się nowa niespodzianka. Przyoblekła ona postać krasnoluda. Mała figurka zagraadzała dalszą drogę. A może nie tyle zagraadzała, co witała podróżnych. Krasnolud bowiem zginał się w uniżonym ukłonie i gdyby miał kapelusz z piórami, pewnie zamiótł by parę razy posadzkę.

Paladyn nie tracił czasu. Przepchnął się na czoło, ale nim zdążył wymówić powitalne "Mości krasnoludzie", tamten znikł w jednej z nisz, ciągnących się wzdłuż korytarza.

– Też posąg – mruknął Ingram po krótkiej penetracji wgłębienia. – Ani drgnie.

Nikt, prócz Calla nie zainteresował się krasnoludem. Barbarzyńca obejrzał go dokładnie mając nadzieję, że i przy nim znajdzie jakiś godny łup. Lekko zawiedziony podniósł posąg dumając, czy

ten w całości nie nadaje się na trofeum, ale zrezygnował ze względu na znaczny ciężar. Truchtem dołączył do pozostałych.

Ich psychika była na wyczerpaniu. Mieli za sobą walkę, nerwy i wielką niewiadomą. Nie wiedzieli, czy będą mogli wrócić tą samą drogą, ani czy znajdą inną. Co gorsza, wciąż mogli się jedynie domyślać, co czeka ich w najbliższym czasie. Okrutna śmierć, zabierająca nie tylko ciała, ale i dusze, może egzystencja przez wieki w postaci posągów, czy też łupy, jakie widzieli tylko w marzeniach?

Wrota kończące korytarz, którym szli dobre kilka minut, nie stawiały dłuższego oporu. Ich mechanizm oparto na zasadzie działania wagi i przeciwwagi.

Do środka wdarli się z okrzykiem i bronią w rękę. Rozsypali się po pomieszczeniu gotowi zabijać każdą istotę, która stanie na drodze. Nikt nie zatrudniał umysłu ani magii, by delikatnie wy badać sytuację. Niechaj się stanie, co ma się stać, ale niech mają to już za sobą.

Ale nic się nie stało. 5 posągów, półludzi półzwierząt patrzyło na nich kamiennym, obojętnym spojrzeniem i żaden nie kwapił się zejść z postumentu i ruszyć do walki. Nie zawalił się sufit ani nie usłyszeli świstu strzał, oznajmiających uaktywnienie jakiejś pułapki.

Pomieszczenie było półkoliste z promieniście rozchodzącymi się odnóżami korytarzy. Z tych ostatnich dwa okazały się zasypane.

– Nic tu nie znajdziemy – powiedział Alendil, jakby to on budował świątynie i znał jej tajemnice.

– Może i nic – odparł Ingram – ale na twoim miejscu opuściłbym ten pentagram. Stoisz dokładnie pośrodku.

Elf cofnął się jak oparzony. Z bezpiecznego miejsca pod drzwiami mógł zobaczyć niewyraźnie wyrytą figurę na podłodze. W jej aktywnych wierzchołkach umieszczono właśnie posagi.

– Moim zdaniem to atrapa, ale po co ryzykować?

Przeszukali pobieżnie nowy teren. I tu łowca miał rację. Żadne kryjówki ani schowki nie ukazały swoich tajemniczych zawartości. Zauważyli tylko, że drzwi, przez które weszli, noszą od tej strony ślady wszelkich możliwych narzędzi. Najwyraźniej komuś bardzo zależało na ich sforsowaniu.

– Nie wykluczam oddziaływania nawet magią, oczywiście stosunkowo prostą – skomentował Ingram, po dokładniejszych oględzinach.

– Ruszajmy tedy w dalszą drogę – oświadczył paladyn.

– A Callo? – spytał Alendil.

Niesforny barbarzyńca znowu gdzieś zniknął. Rządny zdobywca nie pragnął dzielić się z kimkolwiek i zmył się nim czarodziej przystąpił do badania wrót.

Nim jednak zdecydowali się ruszyć bez niego, z jednego z korytarzy poczuli podmuch świeżego powietrza, a zaraz potem ukazał się półolbrzym.

– Wyjście znalazłem – wysapał. – Przywalone było i owszem, ale się wyteżył. A gruzów tej świątyni, czy naszego obozowiska, to w ogóle nie widać.

– I dobrze – mruknął Ingram, a głośno zapytał – A skarbów tam nie znalazłeś?

– Nie, jeno kości i żelastwa trochę. Głup jakowyś w zapadnię wleciał i parę zadziurów w kałdun sobie wraził.

– No to została nam tylko jedna droga.

Za sugestią Selvity, posuwali się teraz ostrożnie, nie środkiem, ale pod ścianami korytarza. Prowadziły oba elfy ze względu na zdolność widzenia w ciemności. Co prawda Alendil

proponował wystawić w ariergardzie raczej Calla i Aiszę ("ci to wytrzymają i salwę z balist"), ale Callo widać przypominał sobie zwłoki, które napotkał w poprzednim korytarzu i teraz zrezygnował z prowadzenia. Zresztą i tak kolejność wyznaczył paladyn, a ten nie lubił, gdy kwestionowano jego decyzję.

Jeszcze dwa razy napotykali stare pułapki. Jedna okazała się uszkodzona i nie zadziałała do końca w momencie uaktywnienia. Tę obeszli ze zwiększoną ostrożnością. Ich poprzednicy zapewne parli na ślepo. Znaleźli po nich w spadku hełm żebrowy, a Ingram wycenił tkwiące w nim kamyki na przeszło 100 sztuk złota, co w znacznym stopniu pokrywało koszty wyprawy i ekwipunku. Był jeszcze sztylet z ornamentem na głowni, ale rdza tak pokryła damasceńskie ostrze, że nie sposób było zorientować się, co przedstawia. Ostatni łup stanowiła zetłata tunika. Kiedyś była prawdopodobnie błękitna, teraz. Lepiej od koloru zachował wyszywany złotą nicią emblemat.

– Pięść na tle łysego czerepu. Toż to znak Katana – powiedział z odrazą Alendil.

– W rzeczy samej. Jakież orki tu życie postradały. Kto wie, czy nie Unuki?– zastanawiał się paladyn. – Może któryś był rycerzem? Wówczas zdało by się ceremonię pogrzebową odprawić.

– Czyś ty oszalał?– zbeształ go Ingram. – Chcesz pienia żałobne skutecznie nad szmatą, złomem i kilkoma kośćmi?

Can odwrócił się na pięcie by z miejsca uświadomić półorka o kilku wyjątkach z kodeksu rycerskiego, a ponadto o obowiązkach kleryka, ale krótkie: "Nie mamy na to czasu" Selvity i pomruki sprzeciwu pozostałych członków grupy, zmusiły go do zaniechania projektu.

– W końcu, kto widział orka–rycerza? – zadał retoryczne pytanie Alendil i ponownie ruszyli naprzód.

Korytarz robił teraz wrażenie naturalnego tworu. Ściany i podłóżę stanowiła lita skała, a po pewnym czasie usłyszeli piski nietoperzy. Gdzieś tam natrafiali na kałuże, w paru miejscach woda sączyła się ze ścian, w końcu po kostki brodzili w strumieniu. Jego bieg kończył się w małym, o trudnej do określenia głębokości jeziorcu, które z kolei umiejscowiło się w grocie kończącej tunel.

– Czy tu nas ma osiągnąć przeznaczenie? – wyszeptał druid, ale czy był to głos dyktowany przez strach, czy też mistycznie nastawioną jaźń, trudno powiedzieć.

– Okaże się – Ingram bezceremonialnie przesunął elfa na bok i pierwszy wkroczył do groty.

Miała wielkość średniej komnaty zamkowej. W głębi, wśród lasu jasnych, wapiennych stalagnatów i ich nie połączonych krewniaków, odcinała się ciemna, masywna platforma. Nieco bliżej, tuż za jeziorkiem, do którego istniał swobodny dostęp z trzech stron, w świetle pochodni podłoga odpowiadała setkami maleńkich błysków.

Niespiesząc się, weszli do groty. Wciąż wysuwali przed siebie ostrza, wciąż oczekiwali ostatecznego ataku, który wreszcie zmiażdży śmiałków.

Nic się nie stało. Siła, która mogła zmieść o wiele liczniejszą grupę, była martwa od stuleci. Widzieli skały, które kiedyś gotowały się od niebotycznie wysokiej temperatury. Uległy mocy, zamieniły się w rzekę magmy i po raz pierwszy od czasów fałdowań, zmieniły swoje położenie, ostatecznie formując część jaskini. Inny cios potwornego gorąca w przeciągu ułamku sekund wyparował litą skałę i niecka, która w ten sposób powstała, z czasem napełniła się wodą.

– Zdziwię się, jeśli cokolwiek znajdziemy – powiedział Ingram – ale dziękujmy bogom, że nie jesteśmy pierwsi, którzy to właśnie znaleźli.

– Nie gadaj po próznicy, magiku – odezwał się Callo. Nachylał się właśnie nad jednym ze świecących punktów. – Nie jest to najznaczniejszy łup, ale i srebro zawsze coś warte – to mówiąc barbarzyńca wyciągnął z sakwy worek (widać przewidział zdobycz), padł na kolana i w tej pozycji

zaczął krążyć po dnie jaskini.

– Faktycznie, to srebrne monety – Alendil podniósł kilka z podłogi – Tylko jakieś dziwne.

Paladyn wziął jedną do ręki. Pieniądz przypominał raczej blaszkę. Był tak przeraźliwie cienki, że stępel wybito tylko z jednej strony. – Wbrew pozorom, panowie rycerstwo – powiedział stosunkowo cicho Can – nie jest to robota osób, konkurujących z legalnymi mennicami. Podobny chłam bito w czasach panowania By-rygyna Małego. Imperium przeżywało klęskę gospodarczą. Każda kolejna seria monet zawierała mniej srebra. Katan gromadził wartościowe sztuki, a wypuszczał w obieg te gorsze. Te, co tu mamy, stanowiły już absurd. Nikt ich dzisiaj nie przyjmie, najwyżej jakiś wioskowy głupek albo kolekcjoner. Oczywiście zabierzemy je, choćby jako zapłatę dla wodza barbarzyńców. Jak widzę, Callo jest uszczęśliwiony. Jeśli chcecie, poszperajcie jeszcze po kątach. Mnie to nie bawi – to mówiąc paladyn usiadł wprost na ziemi i zaczął polerować swój miecz. Pozostali rozproszyli się po jaskini.

Ingram starał się wpaść na trop jakiej to broni użyto w pradawnym starciu. Jedynym jego łupem okazało się kilka zębatach kół. Jak przypuszczał, musiały pochodzić z mechanizmu, który uruchomił zasadniczy czar. W chwili obecnej nie był w stanie wyczuć cienia magii. Nie pozostało mu nic innego, jak dołączyć do paladyna.

Ciszę podziemnego świata przerywała krzątanina awanturników. Wybijał się bas Calla, klóścącego się o coś z Selvita i trzask łamanych co cieńszych nacieków przez potężne ciało reptillionki. Wreszcie i to ucichło, a wszyscy zebrali razem. Ten i ów wyciągnął kawałek placka czy suszonego mięsa by pokrzepić nadwątlone siły. Pito też wino, którego spory bukłak miał przy sobie Selvita.

Bodaj w najgorszym humorze był paladyn. Nie wypełnił misji, do której został powołany, ale z drugiej strony nawet ktoś nawiedzony, nie byłby w stanie dopatrzyć się ingerencji złych mocy w okolicy świątyni. Żaden martwiak ni czarny rycerz nie stanął na ich drodze.

Alendil też wyglądał na zaskoczonego.

– Nie mogę uwierzyć, że to koniec – mówił.

– Mało ci? – roześmiał się Selvita. – Czy spodziewałeś się mitrylowej zbroi w swoim rozmiarze i paru worków platyny? Rzeczywistość jest bardziej szara, niż opowieści snute po karczmach. Ja jestem rad. Can! – tu zwrócił się paladyna. – Doskonale wywiązałeś się z naszej umowy. Rachunki zostały wyrównane. Zgadzasz się z tym?

– Mój honor mówi mi coś innego.

– Przestań, ja swój cel osiągnąłem – widząc zdziwione spojrzenia wyciągnął zza pazuchy kilka luźnych kartek pergaminu. – Tak przynajmniej przypuszczam. Dla was to był przedsmak prawdziwej przygody. Dopiero teraz możecie odpowiedzieć sobie, czy rzeczywiście tego oczekiwaliście od życia. To taka mała rada zamiast tych wymarzonych stert złota i klejnotów. A mogło być gorzej. Zamiast paru guzów i sińców pod koniec wyprawy często trzeba grzebać przyjaciół. Albo jak kto woli, towarzyszy broni.

– Miałem kiedyś bakalarz – zaczął Ingram, ale Callo dosadniej wyraził opinię o wypowiedzi Selvit.

– Gadanie! Każdy głupi to wie.

– Ale nie każdy potrafi wykorzystać – odparł paladyn. – Wracamy, mości panowie.

– Gdzie były te pergaminy? – zainteresował się Can, gdy dotarli do sali posągów. Teraz skręcali do korytarza odkrytego przez Calla.

– W tym czarnym ołtarzu – odparł Selvita. – Nie był tak mocny, jak mogło to się wydawać. Barbarzyńca go rozwalił, a ja oczyściłem.

Paladyn zatrzymał się jak wryty. A więc stało się. Świątynia został zbezczeszczona, a on nawet nie zareagował. Hańba, wstyd i gniew bogów spadnie na jego głowę. A gdyby zabić bluźniercę? Spojrzał na Selvitę. Tamten roześmiał się. – Wybacz, przyjacielu. Kto z kim przystaje... znasz dalej. Ja za długo przystawałem z naszym czarodziejem. Co tak na mnie patrzysz? To nie był ołtarz i wcale Callo go nie rozwalił. Pergaminy znajdowały się w skrytce pod blatem. Zapomnij mi ten dowcip i zastanów się lepiej, co zrobić z osiemnastoma żądnymi złota barbarzyńcami, którzy tylko czekają, aby poderżnąć nam gardła. Jeśli dobrze ruszysz głową, wówczas chyba naprawdę cię ozłocę.

KONIEC